



ZESZYT DWUNASTY.

ROZNIK V. — 1872

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY)



Ewunia szybko przychodziła do zdrowia, a pani pisarzowa chodząc codziennie do kościoła dziękować Bogu za cud okazany, gdyż lekarze już byli o życiu jej zwątpili, zarazem smuciła się tą myślą, że jednak czemu innemu przypisać nie było podobna jej ozdrowienia, tylko uwolnieniu i usprawiedliwieniu Leliwy. Skutek tej wiadomości był widoczny, dotykalny: dziewczynka uśmiechnęła się, wstała tegoż dnia i powróciła do życia... Dwie starsze siostry szeptały między sobą o tem uśmiechając się, matka nie śmiała nawet myśleć. Dręczyło ją to, że dziecko przywiązało się właśnie do chłopaka uboższego, bez rodziny, który nie mógł nigdy być mężem kuzynki J. K. Mości. Kilka dni tak upłynęło, zdrowie całkiem prawie powróciło, ale smutek pozostał. Niczem jej rozweselić, rozerwać nie było można. Macierzyńskie serce myślało, jakby dziecko choćby raz jeszcze rozweselić, orzeźwić, i powiedziało sobie, że jeden raz, tylko raz jeden bytność Leliwy wpłynąć na przyszłość nie mogła. Sam Jan był tak skromny, nieśmiały i małowowny, iż zbytku zuchwalstwa z jego strony wcale się obawiać nie było można. Wreszcie sama nawet grzeszność wymagała, zaprosić go, pocieszyć, dodać mu otuchy, okazać, że ten wypadek nie zepsuł mu opinii u ludzi.

Posłała więc pani pisarzowa swojego wice-marszałka dworu do zamku, aby Leliwy poszukał, bo choć mówiono o oddaleniu się jego, ona temu wierzyć nie chciała. Przyniesiono wiadomość, iż Jana Leliwy od dawna już na dworze nie było. Posłany ani się mógł też dowiedzieć nawet, co się z nim stało. Ewunia już wiedziała o zaproszeniu, nie wiedziano teraz, jak jej oznajmić, że go jeszcze szukać trzeba i że nie wiedzą, gdzie go szukać. Pytano osób kilku, mających ze dworem stosunki, nikt nie umiał powiedzieć o tem. Po długich badaniach i śledzeniach doszli wreszcie, iż Janek z zamku udał się do starego szlachcica, który czasem u niego bywał, a znaczny był tem, że na nogę nakuliwał... Szlachcic ten mieszkał we dworku, z którego się wyniósł, ale dokąd? nie wiedziano. Utrzymywali jedni, że wyjechał, drudzy, że tylko zmienił mieszkanie, a widocznym było, iż życzył sobie, żeby ślad jego stracono.

W owych czasach policyi w mieście urzędowej nie było. Miał osobną król dla siebie, utrzymywała oddzielną ambasada rosyjska, a urząd moskiewski nie mieszał się tak dalece do mieszkańców stolicy, i chwycił dopiero ludzi, gdy się występku dopuścili. Przyjeżdżał, kto chciał, mieszkał, gdzie mu się podobało, brał nazwisko, z jakim mu

było dogodniej, nikt się tak bardzo o to nie troszczył. Wynaleźć więc kogoś w stolicy było nader trudno. Ale służyli w takich wypadkach ochotnicy, po większej części żydkowie, którym tajemnice Warszawy były najlepiej znane. Polecano tego rodzaju interesa faktorowi, który z pomocą swych towarzyszków, najgłębiej ukrytą figurę wytropić umiał. Pełnomocnik też pani pisarzowej zrozpaczywszy, ażeby sam sobie mógł dać radę, a szlachcie był otyły i ciężki i chodzić nie bardzo lubił, szczególnie w czas gorący, kazał zawołać sławnego Mordka Feinberga i powiedział mu, o co chodziło. Mordko, o którym jeden z dygnitarzy koronnych zwykł był mawiać, że się nie Mordkiem spieszonym, ale całą mordą powinien być nazywać, był człowiek niesłychanego sprytu, węchu i domysłności. Wygrzebałby był tajemnicę z pod ziemi... byle ona w niej razem z dukatami była zagrzebana. Mordko podjął się otrzymawszy informacją wyszukać szlachcica i ex-pazia, jeżeli tylko na świecie jeszcze byli. Trzeciego dnia przyszedł oznajmić marszałkowi, że szlachcie Brzeski, kulawy na nogę, ze dworku, który zajmował, wyjechał niby za miasto, wrócił drugimi rogatkami i zamieszkał przy ulicy Długiej, najawszy mieszkanie obszerniejsze, w którym dwa najlepsze pokoje zajął młody człowiek, prawdopodobnie ex-paź królewski. Żyli bardzo ustronnie, nie przyjmowali nikogo, a młodzieniec codziennie zrana wychodził do biblioteki Załuskich na Daniłowiczowską ulicę, i tam aż do jej zamknięcia przesiadywał. Pisarzowa nakreśliła na kartce zaproszenie na obiad, marszałek sam je wziął i udał się w miejsce wskazane...

Biblioteka Załuskich była jeszcze nieuporządkowana, w obszernem jej dziedzińcu w murach świeciły już wmurowane popiersia królów, ale i sam dziedziniec i sale dopiero się urządzały. Próżnych pak pełno było w podwórzu, a nierozbitych w sieniach i po schodach. Na dole tylko urządzono rodzaj czytelnicy, w której najczęściej były pustki, dwóch lub trzech kleryków, jeden lub dwóch cudzoziemców. Cisza głęboka otaczała tę świątynię jeszcze nie konsekrowaną, która nigdy doczekać nie miała, by się stała, czem ją chciał mieć założyciel... Każdy wchodzący gość zwracał uwagę, bo był nadzwyczajną rzadkością, a ks. Jarocki schodził co rychlej witać go i oprowadzać po swym skarbcu. To też gdy się marszałek dworu pani pisarzowej pokazał, naprzód go pochwycił bibliotekarz i ledwie mógł uwierzyć, ażeby tu nie kruków białych ale jasnowłosego szukał młodzieńca. Ten znany z widzenia marszałkowi siedział w kąci nad jakimś foliantem, który go całego zakrywał, i tak był zaczytany, że gdy mu spadł figlarnie rzucony przed nos bilet p. pisarzowej, przestraszył się go jak pioruna. Podniósł dopiero oczy i spotkał uśmiechniętą fizys pocziwego marszałka, który propter majestatem loci cichuteczku mu szepnął, iż przyszedł na obiad go prosić.

— A jakże mnie pan tu potrafiłeś znaleźć?

— Hm... to moja rzecz... szanowny panie Janie — est modus in rebus... est modus... nie łatwo to przyszło, ale dość, żem acindzieja wyszpiegował i zabieram.

— A! nie — rzekł rozweselony nieco Jan — muszę się pójść ogarnąć, bo tu siedzę incognito... W istocie miał na sobie szary kubraczek bardzo skromny... a w tej odzieży prezentować się było trudno.

— Zgoda — zawołał marszałek — ale słowo szlacheckie, że się acindziej stawisz.

— Słowo!

Porzucić więc musiał kronikę Leliwa, założywszy ją sobie arkuszem papieru, i poszedł się przebrać...

Na godzinę oznaczoną dotrzymał verbum nobile, stawił się do pani pisarzowej.

Nie było tego dnia nikogo, oprócz niej, trzech córek, bo i Ewunię do stołu przyprowadzono, i tryumfującego marszałka, wreście i ubogiej starej kuzynki. W myśli pani pisarzowej był to obiad pożegnalny dla biednego chłopaka... który już więcej progę tego domu przestąpić nie miał. Przyjmowano go jednak bardzo uprzejmie i mile. Pisarzowa, osoba wielce poważna i dobrego serca, zaczęła go wypytywać, co z sobą teraz myśli zrobić i jaki stan obierze.

— Tego jeszcze prawdziwie nie wiem — odezwał się Leliwa — chociaż mnie zamłodu głupim Jankiem nazywano, czuję w sobie powołanie a raczej niepomierne nauki pragnienie. Chciałbym się jej oddać. Lecz u nas nie jest to stan... trzeba przywdziać sukienkę duchowną, żeby mieć prawo i czas być uczonym.

— A! więc myślisz pan o stanie duchownym? — pochwyciła prawie uradowana pisarzowa. W tej chwili wyraziście oczy Ewuni padły z wyrazem dziwnej trwogi i zapytania na Jana, i zmieszał się biedaczysko.

— Nie, pani, jeszcze w tej mierze nic nie postanowiłem, waham się. Majątku nie mam, więc gospodarzem nie będę, wojskowym podobno zapożno mi chcieć zostać, bo widzę po moich towarzyszach z korpusu, że i do tego stanu osobnej nauki trzeba... o miejsce w kancelaryi wystarać mi się trudno... czekać więc będę jakiejś skazówki opatrności, a tym czasem się uczyć.

— Wszystko to, coś pan powiedział, bardzo pochwalam — odezwała się pisarzowa — lecz dla czegożbyś nam nie pozwolił okazać ci naszego serca i wdzięczności użyciem wpływów, jakie tu mamy, aby ci wyrobić jakieś miejsce? Wielu mniej zdolnych wciskają się za protekcją; król waćpanu chętnie poda rękę.

— Pani pisarzowa dobrodziejka daruje mi — rzekł Leliwa — może to grzech, ale ja, ja prosić nie potrafię. Człowiek powinien pracować i o własnych siłach dobijać się stanowiska...

Pisarzowa zamilkła.

— Nie maszże pan krewnych? — zapytała po chwili.

— Nikogo! — I spuścił głowę..

— Ani osób bliższych, coby się losem jego zająć chciały?

— Nikogo, pani! A, myłę się — dodał rumieniąc — byłbym niewdzięcznym, gdybym zapomniał to, że sercu jednej dobrej pani, której obraz nigdy z mej pamięci nie wyjdzie, winien wszystko. Byłem bardzo młody i bardzo biedny, gdy ta święta pani, dla tego tylko, że jej twarz moja przypominała rysami tych, których kochała, obdarzyła mnie i przyczyniła się do wychowania mojego.

Tu Janek zamilkł... — A jakże imię tej dobrej pani? — przerwała cichym głosem Ewunia.

Janek wymówił imię z poszanowaniem, i łza mu się zakręciła w oku. Chciwem uchem pochwyciła je pisarzowa i uderzyła w ręce. — A mój Boże — krzyknęła — to moja dobra przyjaciółka; to anioł dobroci... to czcigodna ex-wojewodzina, nieszczęście tylko, że takiego dostała męża. Ale to waćpan chyba nie wiesz, że ona tu od trzech dni gości, że przybyła radzić się doktorów, którzy ją do Karlsbadu wyprawiają.

Janek aż się z siedzenia porwał. — O! mój Boże, toćbym nie wiedząc zaniedbał był pójść i kolana jej ucisnąć! Jakież to dobrodziejstwo wyświadczyłaś mi pani, że się z jej ust o tem dowiaduję. Ale gdzież ją znajdę?

— Naprzód, jutro u mnie — przerwała pisarzowa — bom ją prosiła na obiad, a kiedy tak rzeczy stoją, to i waćpan tu być musisz... potem znajdziesz ją waćpan o trzy domy ztąd, w najętym mieszkaniu, gdzie sklep angielski na dole; ale proszę waćpana, nie idź wprzód! niech ma tę miłą niespodziankę tu, u mnie...

Na samą myśl tego spotkania radowała się dusza Jankowi, twarz mu pojaśniała, rozpromienił, zmienił się, ożywił. Ewuni też oczy zabłysły radością, a gdy wstali od stołu, tak się jakoś zrzędziło, że do jej krzeselka przy krosienkach chłopak mógł przystąpić. W nadziei, że te stosunki nie długo potrwać, pisarzowa była pobłażającą.

— Cóżes to pan Jan tam mówił u stołu — odezwała się cichuteńko pisarzówna — że chcesz księdzem zostać? Ale my przecie, pamiętasz pan? daliśmy sobie słowo, że będziemy bratem i siostrą całe życie, i że żadne z nas bez pozwolenia drugiego nic postanowić o sobie nie ma prawa! Ot to pięknie, żebyś pan mi się w tę smutną czarną sukienkę miał oblec... Ale ja na to nie pozwolę... Jabym w takim razie musiała chyba mniszką zostać, nie, nie.

— A! panno pisarzówno dobrodziejko — rzekł Leliwa — pani masz do wyboru suknie, stan, los, wszystko, ja biedny człowiek... muszę tam iść, gdzie mnie gna przeznaczenie...

— Ale tylko za mojem pozwoleniem — dodała smutnie uśmiechając się Ewunia — jeśli mnie już na tym świecie nie będzie, naówczas czyń pan sobie, co mu się podoba...

Łza zakręciła się w jej oczku — Tak — dodała — nie-

zapomnę nigdy, żeś mi pan ocalił życie i że ja mam obowiązek czuwać nad pańskim... Ja to biorę na seryo! o! seryo bardzo... Dla czegożbyś pan nie miał ufać w to, że ja... że ja... tego obowiązku nie zdradzę, że mu będę wierną... siostrą... aż do śmierci.

Słowa te wypowiedziała tak cicho, że tylko ucho rozmiłowanego dosłyszeć ich mogło. Jankowi w oku zakręciła się łza, schylił się niby po upadający kłębuszek nici, i wyciągniętą jej bladą, białą, chudziutką rączkę pocałował usty gorącemi. Jakim cudem nikt tego nie dostrzegł... to tylko pan Bóg wiedzieć może, który czasem pocziwiał miłość osłania i nią się opiekuje...

Wkrótce potem Leliwa pożegnał pisarzową, która mu przypominała, ażeby jutro się stawił, i szczęśliwszy niż był kiedykolwiek w życiu, uciekł ze skarbami swemi do domu.

Z bijącym sercem, rozrzuwiony, drżący zbliżał się Janek do mieszkania pani pisarzowej. Przed gankiem stała już karetka sześciokonna i kręciła się służba ex-wojewodzinej... Jan szedł, i strach go jakiś ogarniał, jakby ta chwila o jego życiu i przyszłości stanowić miała... W progu ręka sama, z nawyknięcia pobożnego, krzyż położyła na tych piersiach, i pomyślał mimowolnie, a raczej głos usłyszał, który mu mówił wewnątrz: In hoc signo vinces. Otworzyły się drzwi, Leliwa wszedł powoli... W salonie wszyscy już byli zgromadzeni: pisarzowa, jej córki, kuzynka, a na kanapie siedziała blada i mizerna ex-wojewodzina z Łowczyną. Gdy Janka zobaczyła, oczy jej oderwać się od niego nie mogły; chłopak szedł do gospodyni, wedle obyczaju całując jej rękę. Wojewodzina patrzała nań, oddech wstrzymując długo, nareście porwała się z dawno niebywałą żywością z kanapy i głosem silnym zapytała jakby nieprzytomna:

— Kto to jest? kto to jest?

Janek zwrócił się ku niej, podszedł i ukląkł przed nią. — Pani — rzekł dobywając z za sukni na piersiach złożony łańcuch złoty... po tym znaku poznasz tego, któremu dałaś wychowanie i przyszłość. Ja jestem ten ubogi chłopak, którego spotkałaś pod Krakowem w ubogiej siermięzce, i nad którego głową twe błogosławieństwo zawisło... towarzysząc mu w dalszej drodze życia...

Ex-wojewodzina wyciągnęła ręce nie mogąc rzec słowa... — Dziecko moje... odezwała się z płaczem — a! jakżem ja szczęśliwa, żeś mi w sobie przyniósł obraz mojej przeszłości! że cię jeszcze żywemi widzę oczyma! a! Boże wszechmocny, co za podobieństwo...

To mówiąc zakryła oczy i płakać zaczęła, lecz oschły te łzy wprędce, usta się uśmiechnęły.

— Siadajże tu, przy mnie — rzekła — pozwól, niech się na ciebie popatrzę; powiedz mi, co się z tobą działo? jakim sposobem znalazłeś się dziś tu, w tym domu?

Zbliżyła się pani pisarzowa, aby dopomóc opowiadaniu Leliwy. W kilku słowach on sam naprzód o młodości swej wspominał, nie wymieniając Brzeskiego, który go przestrzegł, ażeby o nim nie wspominał. Powiedział, że za protekcją dobrych ludzi dostał się potem na dwór królewski. Pani pisarzowa opisała wypadek, któremu winna była poznanie Leliwy, potem tę nieszczęsną historią Price i medalów.

Ex-województwa słuchała wdychając z niezwykłym zajęciem, ale pilniej jeszcze oczy jej każdy rys twarzy Janka śledziły i rozpatrywały. Nagle z krzykiem podniosła się z kanapy, i obejmując go rękami, z oczyma zapalonemi jakby obłąkaną radością, poczęła wołać: Znamię! znamię!

Dopiero w tej chwili bowiem dostrzegła pod uchem ten znak rodzimy, o którym już Łowczyzna przy pierwszym widzeniu wiedziała. Nierychło spostrzegła się, że to uniesienie mogło być dziwnie tłumaczone, i nagle zamilkła... Myśl jej błąkała się w najdziwniejszych przypuszczeniach... To znamię właśnie pamiętała na twarzyczce utraconego dziecięcia...

Lecz jakimżeby sposobem ono ocalone być miało? Cały szereg przypuszczeń przesunął się po głowie kobiety nieszczęśliwej, której wzruszenie słowa już mówić nie dało...

— A! moja najdroższa pisarzowo — rzekła nakoniec zdobywając się na słów kilka — jakież ja dzień pamiętny życia mojego jestem ci winną! O droga siostrzo moja... jakżem ci wdzięczną! Gdy komu Bóg szczęścia nie dał... jakże słodko choć cieniem jego i widmem się pocieszyć...

I zaledwie na mgnienie jedno odwróciwszy wzrok od Jana wracała doń oczyma chciwemi... a drżąc jej ręka wyciągnęła się bezmyślna... mimowoli, by pogłaskać złote jego włosy... Ewunia siedząc z bolem patrzyła na tę scenę, tak prawie poruszona jak ex-województwa...

— Ale któż byli twoi rodzice... poczęła pytać natarczywie ex-województwa...

Janek wiedział, że nie wszystko mówić powinien, bo go Brzeski o to zaklął, gdy z nim się naradzał; nie chciał wszakże kłamać. — Rodziców nie znałem — odezwał się — Zostałem sierotą mając lat niespełna cztery.

— W tym wieku, gdy ja mego Jasia straciłam! — zawołała pani. — Mój Boże, w głowie mi się zawraca!

— A nie pamiętaszże nic, nic, z pierwszych dni twojego dzieciństwa...

— Prawie nic — rzekł Janek — bo później oddano mnie do chaty wieśniaczej, gdzie się wychowałem po śmierci rodziców... Z lepszego bytu, z pierwszych lat, nie pozostało mi tylko jedno... prawdziwie dziecinne... wspo-

mnienie, którego się wstydzę. Ja, co ani oblicza matki, ani twarzy ojca przypomnieć sobie nie mogę, pomnę czerwoną ze złotemi galonami sukienkę, z której gdy mnie... rozbierano...

Ex-województwa krzyknęła straszliwie, podniosła się i rzuciła na piersi Janka... Mój syn! moje dziecko... Cud Boga żywego! To on! on żyje...

Wszyscy jak piorunem rażeni, osłupieli, umilkli... Janek nie wiedział, co się z nim dzieje...

— Patrzenie... Łowczyzna moja... to znamię mego Jasia... to rysy wojewody... i on pamięta czerwoną sukienkę... którą tak lubił. Ale jakaż tkwi w tem tajemnica? któż mógł?... Byćże to może... nie... to sen chyba, od którego oszaleć można...

— Kochana pani moja — przerwała pisarzowa — na miłość Boga, uspokójcie się. Jest w tem tajemnica jakaś, która bądź co bądź do czasu przynajmniej zostać powinna dla wszystkich tajemnicą...

To mówiąc surowem okiem powiodła pani pisarzowa po przytomnych. — O tem, co tu zaszło, ani słowo jedno po za ściany tego domu, tej sali wyjść nie powinno...

— A tak! tak... któż wie — przerwała ex-województwa — mogłoby jeszcze mu co zagrażać. Gubię się w domysłach... Żli ludzie, co mnie uczynili nieszczęśliwą, mogliby jeszcze, chcąc zatrzeć ślady swego występku, czyhać na dziecię moje...

Zwróciła się do Janka, który stał osłupiały i poruszony. — A, ty jesteś mojem dziecięciem! nic, żadna siła w świecie odebrać mi ciebie nie może. Serce przeczuło nim wiedziało... Tyś mi zmartwychwstał... aby ostatek dni moich ozłocić, dziecko moje! dziecko moje!

Żyły szczęścia, któremi płakała biedna matka, były tak zaraźliwe, iż wszyscy z nią razem się rozplakali, wszyscy szli ścisnąć rękę Leliwy... i czuli się z tego błogosławieństwa Bożego tak prawie szczęśliwi, jak ex-województwa...

Można sobie wystawić zdziwienie sług, gdy przy stole ujrzeni te wszystkie twarze tak zmienione i zaczerwienione od płaczu oczy, a tak jasne i wesole razem. Stary marszałek dworu nieustannie to na Janka patrzył, to na ex-województwę, to na swoją panią, to na pannę Ewę, która promieniała w blasku szczęścia. Rozmowa obojętna nie kleiła się, jeść nikt nie chciał, nie wiedziano co mówić... obiad wydał się nieskończenie długim.

Ledwie go dokończono, ex-województwa prosiła o pozwolenie, ażeby do siebie odjechać mogła zabierając z sobą Jana, którego na chwilę puścić od swego boku nie chciała... Pisarzowa przystała na wszystko, ale wzięła na bok dawną przyjaciółkę, by z nią kilka słów pomówić.

— Droga moja — szepnęła jej — zaklinam cię — bądź nadzwyczaj oględną w postępowaniu... Nie ma wątpliwości,

że cud szczególny łaski Bożej wykrył dziś niegodziwy postępek, w którym podskarbic mieć mógł jakiś udział. Rodzina jego jest znaczącą, ma ona stosunki rozległe, zechce ratować sławę jego i może się dopuścić... nawet gwałtu... Dla własnego twojego i dla bezpieczeństwa dziecięcia, bądź rozważną... ja, jeśli chcesz, pojedę do króla, możemy tajemnicę powierzyć jemu i rady zasięgnąć.

— Nie lękaj się — cicho odpowiedziała płacząc ex-wojewodzina — jam gotowa pokryć wszystko i wszystko przebaczyć... byle jego ocalić... Nie mów nic królowi; Bóg, co uratował go, dozwoli mi go wyprowadzić z tych ciemności i zabezpieczyć od zamachów...

Pan podskarbic wiedział od pierwszego dnia o przybyciu żony do Warszawy, stawiał się zaraz u niej z rewerencyą, został przyjęty jak każdy inny gość, i od tego czasu miał sobie tylko za obowiązek codziennie odwiedzać żonę, ażeby świat i ludzie widzieli, iż stosunki pomiędzy nimi zerwane nie są. Drugiego też dnia po opisanej bytności u pani pisarzowej stawiał się o swej godzinie podskarbic, jak zwykle wielce wyświeżony, upudrowany, odmłodzony o tyle, o ile sztuka ówczesna obrzydliwą ruinę uczynić mogła śmieszna.

W salonie zastał tylko starą Łowczyńnię, która zdawała się na niego oczekiwać. Bronisz także, który towarzyszył pani do Warszawy, znalazł się zaraz wychodząc z drugiego pokoju.

— Pani trochę zajęta, ale wprędce służyć będzie — odezwała się stara rezydentka, dygnęła i odeszła. Marszałek dworu został sam z podskarbicem, jak gdyby dla dotrzymania mu towarzystwa. Podskarbic wszakże wielce dumny, nie myślał się z nim wdawać w rozmowę, zwłaszcza iż go antypatycznie cierpieć nie mógł. Bronisz mimo to, pociągając pasa i zacierając czupryny, stał i chrząkał, pozrywając do rozmowy i świadcząc, że do niej był gotowy.

— Jaśnie wielmożna pani — rzekł wkońcu pocichu — od wczorajszego dnia wielce wzruszona!

— Hm? wzruszona? wzruszona? — spytał nie patrząc na niego podskarbic, który wygodnie się w fotelu wyciągał i na nogi miał wzrok zwrócony, znajdując, że się na jego wiek wcale pięknie prezentowały. — Wzruszona? Cóż? doktorowie nastraszyli...

— Nie... ale taki dziwny wypadek...

— Wypadek? jakież wypadek? mieliście wypadek... To pewno z końmi — obojętnie począł podskarbic — a któż widział wiejskie konie płochliwe brać do miasta...

— Nie z końmi był wypadek, ale...

— No, to cóż? dla czego waćpan mówisz tak półgębkiem... czy to ja baba jestem?

— Całą gębą nie śmiem — rzekł Bronisz...

Ton, jakim te wyrazy były wypowiedziane, uderzył pana podskarbica; podniósł oczy, Bronisz miał minę drwiącą; to go oburzyło. Groźnie spojrział nań.

— Mów waćpan, a nie zapominaj, że jesteś sługą.

— Przepraszam J. W. pana, jestem sługą, lecz tylko mojej pani...

— Idźże precz za drzwi! — zawołał ręką wskazując mu wyjście podskarbic — rozumiesz?

— Pani mi tu stać kazała.

— No, to chyba życzy sobie, ażeby ja ztąd wyszedł i uwolnił ją od moich odwiedzin.

— A! bynajmniej, bynajmniej — począł Bronisz — bo nawet dziś ma bardzo ważny interes do J. W. pana...

Podskarbic popatrzał nań.

— Uczyniże mi tę łaskę — odezwał się ironicznie — i racz mi powiedzić jasno, do czego krętami tak idziesz drogami?

— Wypadek w istocie osobliwszy — rzekł Bronisz pozornie bardzo obojętnym tonem — Kilkanaście lat temu, pani raz na drodze pod Krakowem spotkała chłopaka, tak nadzwyczaj podobnego...

— Słyszałem o tem! słyszałem! — gwałtownie wybuchnął podskarbic — cóż dalej? co za związek...

— O też tu właśnie wczoraj w Warszawie u pani pisarzowej znowu przypadkiem osobliwym się z nim zjechała...

Podskarbic pobladł, buta go zupełnie opuściła, począł się oglądać dookoła, jakby szukał drogi do ucieczki, a udawał, że się uśmiecha... I cóż tedy? — spytał jękając się.

— Proszę J. W. pana, tak osobliwego podobieństwa, jak tego chłopca do nieboszczyka wojewody, wystawić sobie trudno... W dodatku to znamię pod uchem, które miał wojewoda i które zmarły zawcześnie synek wziął po nim...

Podskarbic szukał krzesła i zsunął się na nie.

— To się trafia... hm. — począł niewyraźnie — może to naturalne dziecię jego... Wszystko być może...

— Zapewne, żeby to być mogło — odparł Bronisz — ale za pierwszym spotkaniem, gdy się zrodziła jakaś wątpliwość o to dziecię, bo i wiek jego dziwnie się schodzi ze zmarłym synkiem J. W. pani, przyznaję się J. W. panu, gdyśmy powrócili do domu, tak byłem jakoś dręczony nie pewnością, czy się co nie stało... bez wiedzy państwa... jakaś niegodziwość, że poszedłem z proboszczem do grobu i zrewidowałem trumienkę Jasia... a w niej, jak świadczy... oto ten protokół, znalazły się tylko kamienie... Ślad to więc zbrodni...

Podskarbic siedział, ale tknięty paralizem i bez mowy. Oczy miał obrócone w ślup, połowa twarzy nie poruszała się wcale, pół ciała było bez władzy. Bronisz spostrzegł i krzyknął o ratunek. Ludzie się natychmiast zbiegli,

konnego wyprawiono w czwał po lekarza. Nadeszła pani Łowczyzna, cały dwór, i natychmiast dobyto, co było flaszek, kordiałów, smarowań w apteczce podróźnej. Wszystkie te środki jednak okazały się bezskutecznymi... Przybyły w pół godziny Lafontaine i Ertel natychmiast krew obficie puścić kazali i chorego na łóżko przenieśli. Uderzenie było wprawdzie bardzo silne, lecz życiu na ten raz jeszcze nie zdawało się zagrażać, można się nawet spodziewać było, że mowę i władzę zwolna odzyskać potrafi.

Wypadek ten niespodziany, którego przyczyny Bronisz przed nikim wyjawiać nie potrzebował, powstrzymał naturalnie wykonanie wszystkich projektów ex-wojewodziny i wyjazd jej do wód. Musiała czekać wyzdrowienia męża.

Część mieszkania odstąpiwszy dla niego, gdyż chory przenoszonym być nie mógł w tym stanie, w jakim się znajdował, część jeszcze oddała Janowi, którego przy sobie mieć chciała koniecznie.

Powrót do zdrowia pana podskarbicą był bardzo powolny, a nawet z wracającą mową i władzą, przy osłabieniu jego niebezpiecznym było o przedmiot drażliwy w rozmowie zaczepić. Sam wręcz chory zażądał widzieć się z żoną i prosił, aby się Łowczyzna, przybyła z nią, oddaliła.

— Pozwolisz mi kilka słów powiedzieć w bardzo ważnym przedmiocie — odezwał się obłąkanemi oczyma rzucając dokoła. — Słyszałem, że pani znalazłaś dziecko... chłopca... bardzo podobnego do nieboszczyka wojewody, którebyś zapewne sobie życzyła... adoptować. Otoż jeśli w istocie masz tę myśl, ponieważ nie mamy własnych dzieci, chciałem uprzedzić, że ja... że co się tyczy mnie, zgadzam się na nią i wspólnie z panią chłopca tego adoptować będę.

Ex-wojewodzina, która się wcale nie spodziewała tak łatwego i szczęśliwego rozwiązania, zdumiona, że łzami w oczach odpowiedziała.

— Niech ci Bóg to zapłaci.

— Nie ma za co — krzywiąc usta rzekł chory — jeden tylko stawię warunek: ażebym w ten sposób... raz... dając dowód bezinteresowności i dobrej woli, od głupich podejrzeń był wolny...

Chwilę głosu mu zabrakło. — Ja tam nie wiem nic, może być, że głupia gorliwość sług, że tam jakaś intryga, że tam coś było, ale ja o tem nie wiem... ja nie wiem, ja nie mogłem wiedzieć. Pani to sama miarkujesz... iż mąż waćpani, że potomek takiego rodu i domu... nie mógł w takie brudy rąk umaczać... to oczywista...

— Ale bądź spokojny — przerwała ex-wojewodzina — nie ma najmniejszego podejrzenia... wszystko okryte jak największą tajemnicą.

— A żeby ten głupi Bronisz, imaginatyk, bo to człowiek bez mózgu, przywiduje mu się niewiedzieć co! żeby nie plótl andronów, zamalować mu tę gębę... bo to gęba paskudna...

— Bronisz stary sługa domu i pewnie nic, coby nas pokrzywdzić mogło, rozgłaszać nie będzie...

— Dać mu tam na dzierzawę, czy dożywocie, czy tam co... a niech nie bluzga, niech milczy... — dodał podskarbic — człowiek niespokojny, gotów grzebać się w grobach. Co to jest! co to jest...

Widząc go mocno wzruszonym, ex-wojewodzina starała się ukoić. — Proszę cię, nie myśl już o tem...

— Nie będę myślał, każ pani akt urzędowy sporządzić, i niech go król J. Mość potwierdzi... Wszak to wiele czasu nie zabierze, żebym raz mógł być spokojnym, bardzo proszę.

Rozmowa była skończona; żona wstała i pocałowawszy go w ramię, nie mówiąc słowa odeszła. Też chwili wysłano do prawnika, aby akt sporządził, a ex-wojewodzina kartką oznajmiła pani pisarzowej o swem szczęściu.

Wypowiedzenie tych kilku słów, które nosił znać długo na sumieniu, do tyła uspokoiło chorego, że gdy po południu po raz już piąty czy szósty zameldowano mu odwiedziny hrabiny Estelli, której wprzód nie przyjmował, kazał ją do siebie wpuścić.

Dawna przyjaciółka, która zajeżdżała tylko dla ceremonii i grzeczności, a niespodziewała się wcale tej łaski, gdy jej zapowiedziano, że podskarbic prosi, zdziwiła się a nawet skrzywiła trochę, lecz musiała wysiąść. Nie lubiła ona ani widoku nieboszczyków, ani chorych, obawiając się równie śmierci i choroby. Była też najpewniejszą, że paraliż może być zaraźliwy, i dla bezpieczeństwa chustką zlaną woniami osłoniła usta...

Podskarbic siedział ubrany na łóżku, tylko miasto peruki na głowie, miał biały czepek związany zieloną szeroką wstążką, który go czynił podobniejszym do starej baby, niż do chorego mężczyzny.

— No, widzisz kochana hrabino — odezwał się słabym głosem — co się to ze mną zrobiło? Czy ja jeszcze przyjdę do siebie tak, żebym mógł zjeść śniadanie z kasztelanem? — Rozśmiał się, hrabina zbladła, nie śmiała się odezwać, kasztelan bowiem przed tygodniem zjadł ostatnie w życiu śniadanie.

— Ale, to przejdzie! to przejdzie! — rzekła hrabina — nie wyglądasz nawet tak bardzo źle; tylko się nie trwoż lada czem.

— Wiesz — szepnął, schylając się ku niej — kuso było, bardzo kuso koło mnie... Musiałem adoptować!

— Kogo?

— Hm... tego... wiesz... Znaleźli bestye... nie było sposobu... chodzili po świadectwo na mnie do trumny...

— To okropne...

— Tak, to okropne — westchnął podskarbic — ale to taki głupi świat; ludziom, jak ja, nigdy się nie szczęści, nadto byłem dobry!...

Znać najmocniejsze miał przekonanie, iż prawdę powiedział, potwierdził ją bowiem jeszcze jednym westchnieniem.

— Ale mniejsza o to — dodał — niech sobie już tak będzie; dzieci nie mam, niechaj go adoptują, co mi tam. Ja sobie wrócę do Krakowa, pensją mi dać muszą.

— Ty zostaniesz u nas w Warszawie — rzekła hrabina.

— A któż tam bank ciągnie? — spytał żałośnie.

— I, bez ciebie gry prawie nie ma — pocieszać zaczęła przyjaciółka — bardzo mała...

— Mnie się zdaje, że ja za tydzień będę mógł! tylko mi lewa ręka czasem drętwieje... ale to brak ruchu — rzekł podskarbic — to przejdzie.

— To musi przejść! — pospiesznie dodała hrabina, która wcale nie wierzyła, żeby bank już kiedy mógł ciągnąć jej przyjaciela, i pragnęła tylko co najprędzej wynieść się z zatęchłej izdebki chorego. On zaś chciał ją zatrzymać, aby się uskarżyć i wyżebrać nieco pociechy.

— Im prędzej radbyś wstać i być zdrowym, tem teraz powinieś się więcej szanować. Nie męcz się rozmową, słuchaj doktora, nie gryź tym wypadkiem, bo to już nie nie pomoże, a wszystko będzie dobrze.

Biedny pan podskarbic uśmiechnął się.

— Chciałbym jeszcze pożyć trochę — rzekł cicho — jeszcze mi się nie chce umierać.

— Ale któż tam o tak brzydkich mówi rzeczach! — zaśmiała się hrabina. — Do widzenia! do widzenia!

I wysunęła się jak mogła najprędzej, zatykając nos i usta, żeby się paralizem nie zarazić!

(Dokończenie nastąpi.)

BANITA.

DRAMAT HISTORYCZNY W V. AKTACH.

Przez JEOP. hr. STARZEŃSKIEGO.

AKT IV.

(Część ogrodu w pobliżu dworu pani Wapowskiej)

SCENA I.

WAPOWSKA, ZOSIA, WINRYCH.

ZOSIA.

Mamo! jedziesz do Krakowa,
Aby znów widzieć Taidę,
Co przy cioci tam się chowa?
Przez mą siostrę wciąż mam biedę,
Zapominasz o twej Zosi.
Znów zostanę w domu samą;
Twa Zosieńka pięknie prosi,
Weź mnie z sobą, moja mamo.

WAPOWSKA.

Dziecię moje ukochane,
Do Taidy ja nie jadę
I nie długo tam zostanę;
Moje serce tam nie rade,
Lecz mnie jechać dziś potrzeba,
Mój aniołku luby, złoty,
Ojciec twój tak każe z nieba,
By osłaniać was sieroty.
Ten zabójca jego srogi

By nie szkodził już nikomu,
Trza strzedz przed nim nasze progi.

Dziecię moje! wróc do domu.

(całuje ją, Zosia odchodzi w lewo)

SCENA II.

WAPOWSKA, WINRYCH.

WINRYCH (trzymając dwa listy)

Oto jest, pani! ów list do kanclerza.

WAPOWSKA (biorąc list jeden)

Każę go oddać na zamku krakowskim;
Lecz mimowoli ta myśl mię uderza,
Że już zapożno ścigać za Zborowskim.

WINRYCH.

Jestem spokojny, w zastawionej matni
Dzisiaj go jeszcze z pewnością uchwycę;
Dziś trzeba działać, i to kres ostatni,
Bo jutro może przemknąć przez granicę.
Blisko mieszkania tej pani Włodkowej
Klasztor niewieści, a ów list to sprawi,
Skoro tam będzie oddan wedle zmowy,
Że go starosta swem wojskiem obstawi.

WAPOWSKA (pokazując na list drugi)

A cóż list tamten?

WINRYCH (chowa go)

O! to pismo drogie!

Twa obietnica mnie na to ośmiela.

WAPOWSKA.

I cóż zawiera?

WINRYCH.

Wyjawić nie mogę,

Ale to pismo jest dla Samuela,

Gdyby je wręczyć tylko się udało.

WAPOWSKA.

Czyń jak chcesz, wspólne mały nasze słowa,

W które się przyszłość wspólną odtąd złało;

Więc do Krakowa.

WINRYCH.

Tak jest do Krakowa.

(odchodzą w prawo)

SCENA III.

(zaczyna się zciemniać stopniowo)

EZECHIEL, dwaj ZAPOROŻCE.

EZECHIEL.

Dalej! za mną, moi chłopcy!

I do dzieła! próżne troski,

Taki figiel wam nie obcy;

Tu — przed nami dwór Wapowskiej.

Wam ta jęzda dobrze znana,

Jakby dzuma wszędzie ściga,

Aby zgubić nam Hetmana,

I przed niczem się nie wzdryga.

ZAPOROŻCE (uderzając w rękojeść)

A od czegoż my na świecie,

Gdy nam hetman się powierza.

EZECHIEL.

Z babą mieczem walczyć chcecie?

Wszakże to wstyd dla rycerza.

ZAPOROŻEC.

Ale co tam?

EZECHIEL.

Głupiec z ciebie,

Świat rycerski ci nieznanym,

Wiem jak działać mam w potrzebie,

Bom ja rycerz pasowany.

Czyż szerszenie widząc w stepie,

Szablą w gniazdo tniesz w zapędzie?

Wszak je dymem zwędzić lepiej,

Szerszeń kasać już nie będzie.

ZAPOROŻEC.

Ha! rozumiem.

EZECHIEL.

Mądrej głowie

Słowa nietrza zbyt długiego,

A i hetman gdy się dowie,

To nie zgani figla tego.

Ludzi zacnych palić domy,

Za to mógłby wystrofować;

Lecz tu... wziąć mi wiechcie słomy,

Drzwi na zewnątrz zaryglować

I...

ZAPOROŻEC.

Już wiemy.

EZECHIEL.

Potem w nogi!

Bobyś mnie czas długi wspomniał,

I nie wracać mi w te progi,

Choćbyś oko w nich zapomniał.

To przysługa, pamiętajcie,

Którą czynim hetmanowi,

Więc nic w domu nie ruszajcie,

A nikt za to nic nie powie.

Lecz niech który rozkiełzany

Puści się na rabowanie,

Jakem rycerz pasowany,

Że toporem w łeb dostanie.

(Zaporożcy zapalają łuczywa i wychodzą w lewo)

SCENA IV.

EZECHIEL (sam)

Tego przecież mi nie zgani

Pan Samucha; jęzda wściekła,

Co go żądłem ciągle rani,

Niechaj wraca już do piekła!

Wciąż go ściga jakby zmora,

Sidła mu zastawia wszędzie,

Od poranka do wieczora;

A tak odtąd spokój będzie.

(po chwili)

Co za lichy to być może,

Że Samucha pędząc cwałem

Nas zatrzymał tuż przy dworze,

Gdy pod Łobzów podjeżdżałem?



(Obacz „Przysłowie“ na stronnicy 462).

Czemu zamku nie zdobywał
Podczas ślubu?... Rzec nie umiem!
Byłbyż piosnkę im zaspiewał!
Nie, już tego nie rozumiem.
Prawda, zem się spoźnił nieco,
Ale lichy też nadało
W chwili, gdy już hufce lecą,
Że rycerza się spotkało.
Szlachcic jakiś paliwoda
Z miną butną i siarczystą,
Tak go puścić, jakoś szkoda,
A i zbroję miał złocistą;
Że jak Centaur nie zrósł z koniem,
To mu dowieść mnie skorciło;
Więc, w dół kopje, dalej błoniem!
I to pochód nasz spoźniło.
Mnie od burdy wiąże słowo,
Lecz ten szlachcic chciał coś złego,
Wąs podkręcał, wstrząsał głową,
Jam niewinien, sam chciał tego.

SCENA V.

EZECHIEL i SAMUCHA.

SAMUCHA.

Co, jeszcześ tutaj? wszak rozkaz wydałem,
Gdy od Łobzowa ciągnął szyk bojowy,
Abyś się udał z twém żołnierstwem całym
W dom mojej krewnej, do pani Włodkowej.
Tam nocleg. Jutro do Inflant wracamy,
Nim pierwsze blaski jutrzeńki zaświecą,
Tam po dawnemu znowu pohulamy,
Słońce nas jutro zwita za granicą.

EZECHIEL.

Wiem o tem, Panie! Gdy hetman rozkaże,
Słucham go lepiej niż w kirku pastora,
Lecz mały planik jeszcze w głowie ważę,
Z nim się pochwalić przed wami już pora.
Z tym dworem zręcznie się teraz sprawimy,
W tym dworze mieszka ta jędza przebrzydła.

SAMUCHA.

Co? Dwór Wapowskiej? My tu źle gościmy,
Pewnie jej zemsta znów zastawia siła.

EZECHIEL.

Nie, już spokojni mozem być w tej mierze,
Pani Wapowska już nam nie zaszkodzi;
Ja choćby w piekło na czarta uderzę,
Gdy o hetmana zdrowie, życie chodzi.

SAMUCHA.

Co?

EZECHIEL.

Pokąd ona nie dokaże swego,
Wam niebezpiecznie, już dobrze wiem o tem;
A więc użyłem środka niewinnego,
Choćby mnie hetman miał wyłajać potem.

SAMUCHA.

Ja nie rozumiem.

EZECHIEL.

Oto chłopcy moi
W ogniu ją złowią, jakby rybę w sieci.
Rygle kazałem zamknąć u podwoi,
I mamy spokój. — Ot, już łuna świeci.
(z lewej uderza silny blask pożaru).

SAMUCHA.

Ha! niecna duszo! co czynisz szaleńcze?
Jad nowy wlewasz do czary boleści!
Gdy marą wiecznie moję duszę dręcę,
Wyrzuty krwawe ledwo łono zmieści,
Ty nową dla mnie chcesz popełnić zbrodnię?
Twa miłość ku mnie tylko ciebie chroni,
Że choć tak działasz nikczemnie, odrodnie,
Nie czujesz za to gromów mojej dłoni.
Przezemnie klęska spada na ich progi;
O! niech mnie wspiera teraz ręka Boża!
Nie! nigdy odtąd nie powiedzą wrogi,
Że rozbójnikiem hetman Zaporozia.
(wrywa Ezechielowi topor i wybiega w lewo)

SCENA VI.

EZECHIEL (sam stoi w największym zadziwieniu)

Któż mógł przewidzieć, że w tem wina taka? —
Nic w mojej głowie mądrze się nie zlepi!
Tak się zagniewał i zburczał jak żaka!...
Któż mógł przewidzieć? Jam chciał jak najlepiej.
(patrzy w lewo, gdzie Samucha odszedł)
Ha! już toporem podwoje rozwalił,
Wpadł w ogień, pośród lecących sklepieni.
Zginął!.. nie, wraca! o! — Bóg go ocalił!
I jakieś dziecko wynosi z płomieni.

SCENA VII.

SAMUCHA, ZOSIA, EZECHIEL.

SAMUCHA.

(wnosi zemdloną Zosię, składa ją na darniowym siedzeniu
i klęka koło niej)
Dzięki ci Boże! w niewinnych obronie
Użyte ramię moje tej godziny,

To dziecię moje ocaliły dłonie,
Sen mój się ziścił... naprawienie winy!...
(do Ezechiela)

Szczęściem z twej zbrodni nie ma nieszczęść żadnych.
Hej! żywo! z hucem w dom Włodkowej spieszyc!

EZECHIEL (na stronie wskazuje Zosię)
To pewnie pisklę tych kruków szkaradnych,
Z ognia je wyjął, ma się czego cieszyć! (odchodzi)

SCENA VIII.

SAMUCHA i ZOSIA.

ZOSIA (przychodząc do siebie)
Ach! gdzież mama?... siostry moje?
Jak tu straszno... nie spię przecie...
Jakiś obcy!... ja się boję!
Panie! wy mnie zabić chcecie?

SAMUCHA (klęcząc koło niej)
Dziecię moje! nie miej trwogi!
Tyć bezpieczną przy mem łonie,
Los nie dotknie ciebie srogi,
Ja cię życiem mem osłonię.
Bo ty nie wiesz, com dla ciebie
Zdolny czynić przez wspomnienie,
Za to może ojciec w niebie
I mnie zesłał przebaczenie.

ZOSIA.
Jeśli nic nie myślisz złego,
Panie! prowadź mnie do mamy;
Tak, tyś serca jest dobrego,
Nie zostawiaj mnie tu samej.
Tyś nademną się uzalił,
Tyś mnie z ognia wyratował,
Bo ten pewnie dwór podpalił,
Co i tatkę zamordował.
Co wieczora i co rana
Ja za tatkę pacierz mówię,
Teraz wspomnę zawsze pana,
Aby pan Bóg dał mu zdrowie.

SAMUCHA.
Módl się dziecię, z łzą anioła,
Bóg tej łaski niech użyczy;
Kiedy mnie przed sąd powoła,
Niech tę chwilę mi policzy.

ZOSIA.
Pan tak dobry. Takbym chciała,
Abyś czasem o nas wspomniał

Cóżto bym ja panu dała,
Byś o Zosi nie zapomniał!
(zdejmując łańcuch ze szyi)
Chyba ten łańcuszek mały,
Co mój tatko mi zostawił,
Przy nim krzyżyk złoty cały,
On mnie nim pobłogosławił.
Ja go panu oddam przecie,
Ażebyś go nosił wszędzie,
A żeś Zosi wrócił życie,
Mama gniewać się nie będzie.
(zawiesza mu łańcuszek na szyję)

SAMUCHA (z uśmiechem całuje jej ręce)
O! to pierwszy blask promienia,
Co zabłysnął przed oczami,
Ten krzyż znakiem przebaczenia,
Twego ojca cień nad nami.
(słychać gwar za sceną)

ZOSIA.
Ach! to mama moja wraca.
SAMUCHA (zrywa się)
Ha! bądź zdrowa!... tam mnie woła
Nowe dzieło, nowa praca,
Módl się dziecię z łzą anioła.
(wybiega)

SCENA IX.

ZOSIA, WAPOWSKA, WINRYCH (ze strażą)
WAPOWSKA (wbiega)
Widziałam łunę! ach! to dwór mój płonie!
Boże! gdzież moje ukochane dziecię.

ZOSIA (biegnie ku niej)
Ja tutaj, mammo!

WAPOWSKA (ściska ją)
O! tyś przy mem łonie!
Mniejsza o resztę, powracasz mi życie.

WINRYCH.
My na czas jeszcze zdołali powrócić,
Może nas wiedzie Bog na trop banity.
(do straży)
Hej! w koło wszystko przejrzeć i przerzucić,
Może złoczyńca w tych stronach ukryty.
(Straż odchodzi)

WAPOWSKA.

Mów, dziecię moje, jaka boska siła
Ciebie wyrwała z tej strasznej przygody,
Mów! czyja ręka ciebie wybawiła?

ZOSIA.

To nieznajomy jakiś kozak młody.

WAPOWSKA.

Kozak! i gdzież on? niech przyjmie grosz wdowi,
Niech wszystko weźmie, co mi pozostało,
Czego na świecie zapragnie, niech powie,
A oddam wszystko, choć to jeszcze mało!

ZOSIA.

Zdał się tak smutnym, jakby stał na męce,
I wybiegł w chwili powrotu twojego;
Tu klęczał przy mnie, całował mi ręce
I prosił, bym się modliła za niego.

WAPOWSKA.

Módl się za nęgo! i ja nie przestanę
Modlić się także za twojego zbawcę;
Wraz z tobą, dziecię, przed tron króla stanę
O zemstę wołać na mych nieszczęść sprawcę...
Nie, nie opuszczę cię, droga dziecino!
Bóg da, że wroga schwyci wreszcie matnia,
Że czarne chmury znikną z tą godziną,
Że Zborowskiego to zbrodnia ostatnia.

(odchodzi z Zosią w prawo)

SCENA X.

WINRYCH (sam)

Tak, bez wątpienia, to dzieło Samiela.
Na dom Wapowskiej chciał przywieść zagładę,
A łoże krwawe sam sobie uściela.
Czyżby mą zgrabną mógł przewidzieć zdradę?
List od kanclerza z przestroją wysłano;
Uwierzy pewnie, że Zborowski wraca,
Z wojskiem na klasztor zbiegnie jutro rano,
A wtedy moja uwieńczona praca. (wyjmując list)
To pismo, niby to od niej wysłane,
Na klasztor banit wnet uderzy śmiało,
Pismo Gryzeldy przecież mu nieznane...
Gdyby je wręczyć tylko się udało!

SCENA XI.

WINRYCH, EZECHIEL, STRAŻ.

EZECHIEL (wydzierając się straży)

Co? napadać tak szlachcica!
To gwałt! rozbój niesłychany!

A to piękna okolica!
Jakem rycerz pasowany.

WINRYCH (na stronie)

Ha, co za myśl!
(dobywa miecza, odtrąca żołnierzy i wyswobadza Ezechiela)

Precz hołota!

W imię króla rozkazuję!

Czyście tu przybyli po to,

By napadać jakby zbóje?...

Precz!... powiadam!...

(na znak porozumienia Winrycha straż odchodzi)

EZECHIEL (zdziwiony)

Cóż to znaczy?

Waszmość ponoś mi nieznanym;

Niechże z łaski wytłumaczy,

Zkąd ten honor niespodziany,

Żeś mi raczył przyjść z pomocą?

Choć nie zawsze, gdy się wadzę,

Trza mi tarczy przed przemocą,

Bo sam sobie zwykle radzę.

WINRYCH (prędko)

Milcz! Samucha czy ci znany?

EZECHIEL (z niedowierzaniem)

Czy tam znam, czy nie znam jego,

Jakem rycerz pasowany,

To nikomu nic do tego.

WINRYCH.

Nie rycerzu, śmiało proszę,

Ze mną złączyć się przymierzem,

Od Gryzeldy list przynoszę,

Bom jej sługą i rycerzem. (dobywa list)

EZECHIEL.

Co? list od niej?

WINRYCH.

Hetmanowi

Sam go wręczysz, bo odkrycie

Ważne. Niech się zaraz dowie,

Że tu idzie o jej życie

I o przyszłość jego sławy.

Niechaj hetman nie przestaje

Mieczem wspierać wszczętej sprawy,

Laur mu zrodzą polskie kraje.

EZECHIEL.

O tem wszystkim nie mnie sądzić;

Ja w potrzebie rąbać umiem,

Lecz jak kręcić, knować, rządzić,

Ja się na tem nie rozumiem.

I to mi nie tajemnica,
Bo to każdy we krwi czuje,
Że dyamentu i szlachcica
Wartość w ogniu się próbuje. (biorąc list)
No, Gryzeldy list mu wręczone,
Bo jest ważnym, jak to wnoszę,
Wnet go będzie miał, to ręczę.
Lecz o imię waszmość proszę.

WINRYCH (po chwili namysłu)

Winrych...

EZECHIEL (parska śmiechem)

Winrych! Waść się zowie?
(na stronie)

Łatwo to spamiętam miano;
Pomnę w psiarni raz w Zborowie
Psa gończego tak nazwano. (głośno)
Panie Winrych! twej przysługi,
Jakem rycerz, nie zapomnę.
Za nią lata jeszcze długie
Zawsze waści mile wspomnę;
Lecz jeżeliś mnie oszukał,
Z oka spuszczać cię nie będę,
W całym świecie będę szukał
I z pod ziemi cię dobędę.
Ja ci mówię grzecznie, ładnie,
Jeśli w tem jest jaka zdrada,
Samielowi włos niech spadnie,
Twoja głowa za nim spada. (odchodzi)

WINRYCH (sam)

Głupcze! leć w sidła! droga niedaleka.
Przez twoje ręce mam banity głowę,
Na ciebie także kat z uściskiem czeka.
Z drogi zawrócić trza kasztelanową. (odchodzi)

ZMIANA.

(Pokój w domu pani Włódkowej, stół zastawiony do wieczery,
po lewej sofa na przedzie sceny).

SCENA I.

SAMUCHA, KAZIMIERZ.

KAZIMIERZ.

Otóż w tym domu, pani Włódkowej,
Ostatniej jeszcze szukamy gościny,
Nim na Inflantach ujrzymy świat nowy,
Gdzie bujnie rosą mirty i wawrzyny.

Choć pani w domu na teraz nie bawi,
Widać o gościach pomyślano przecie;
Wam odpoczynek pewnie ulgę sprawi,
Może się panie, pokrzepić, zechcecie?
(nalewa puhar i podaje mu)

SAMUCHA (pije)

Twe zdrowie piję, drogi Kazimierzu,
Jedyny druhu wierny wśród niedoli;
Cała potęga w przyjaźni przymierzu,
Bo wszystko inne uchodzi powoli.
O! jak nie wiele już mi pozostało,
Gałązka bluszczu z moich skroni spadła,
Marzenie dawne nagle się rozwiało,
I wstęgi mojej, patrz! jak barwa zbladła.
Ale znów stoi przed oczyma duszy
Posąg widomy, wielki w potomności,
Znów hymn się jakiś objaja o uszy...
Hej! na pomyślność tej wielkiej przyszłości.
(wychyla drugi puhar)

KAZIMIERZ.

Panie! ten napój może ci zaszkodzić,
Boś przecie nigdy nieprzywykł do niego.

SAMUCHA.

Ha — chcę zapomnieć! duszę wyswobodzić
Z gniotących węzłów widziadła straszego.
Słyszysz? jak wicher smutno w szyby dzwoni,
W powietrzu jęczą pogrzebowe pienia,
A tam... w oddali... widne na ustroni
Mnie krwawą ręką wskazujące cienia,
Nad nimi olbrzym jak na skrzydłach wzłata,
Żelazną dłonią w mą dumę uderza;
Ten, co wielkością mnie zwalcza, przygniata,
Ciągłe mi grozi... to postać kanclerza.

KAZIMIERZ.

W twem sercu, panie, wyniosłem, szlachetnem
Dla czegoż zawiść taka dotąd gości?
Ów mąż, w swem nagłym wyniesieniu świetnem,
Wiernym obrońcą szlacheckiej równości.
Czyliż go za to twój gniew tak obarcza,
Że możnowładztwo chce zgnieść u rozdroża
Pragnąc, ażeby ta szlachecka tarcza
Polskę okryła od morza do morza?

SAMUCHA.

Nie. Przed nim czoło me z pokorą nagnę
I pójdę śmiało w nowych bojów szranki,
Choć go nie cierpię, jemu sprostać pragnę,
W usługach Polski, mej nowej kochanki.

SCENA II.

C I Ż, E Z E C H I E L.

EZECHIEL (wchodząc z listem)

Doniesienie ważne, panie,
Z listem do was tu przychodzę,
Podpis już za wszystko stanie;
Rycerz mi go oddał w drodze.

SAMUCHA (czyta list, z krzykiem zadziwienia)
Co? Gryzelda!... wielki Boże!...
Klasztor!... tutaj... i tej nocy!...
On ją więzi!... czy być może?
Ona błaga mej pomocy! —
Co? Zamojski za mną ściga!
Choć ocalił w własnym domu,
Tej podłości się nie wzdryga?...
Wojsko wysłał pokryjomu?!

KAZIMIERZ.

Przebóg! cóż się znowu stało?

SAMUCHA (zapamiętała)

Co się stało? o! nie pytaj!
Czyż dowodów ci za mało
Na nędznika?... Czytaj!... czytaj!...

KAZIMIERZ (przeczytawszy)

Do klasztoru swą małżonkę
Kancelrza wysłać miał z zazdrości!
Panie! — w taką wierzysz mrzonkę?
W tem jest jakaś sieć podłości!
(do Ezechiela)

Zkąd masz ten list?

EZECHIEL.

Z rąk siepaczy

Jakiś rycerz mnie wybawił;
Chociaż nie wiem, co to znaczy,
Lecz to pismo mi zostawił,
Mówił, że Gryzeldy sługą.

SAMUCHA (do Kazimierza)

Jakiż sen cię jeszcze łudzi?
Śnij gorączką ciężką, długą,
Aż cię prawda wreszcie zbudzi!
Złoty bałwan, z tym urokiem,
W którym widzisz światło wieszczce,
Co skroń wznosi pod obłokiem,
Czyż nie runął dotąd jeszcze?
Ty w blask wierzysz słońca tego?
Z ócz zasłona ci nie spada,

Chociaż poza blaskiem jego
Tylko podła chytrność, zdrada?

O! Zamojski!... po raz drugi
Już nie zejdziesz z widoku! —
Zdradę bierzesz w twe usługi?
Ja dotrzymam tobie krokul! —
(do Ezechiela)

Ty! — zbierz hufce co rozpierzchły.
Ztąd w pobliżu klasztor stoi,
Dnia ostatki już się zmierzchły...
Tam mnie czekać — bracia moi!...
Ztamtąd, w pochód do Krakowa!
A więc... śmiało!... przyjacielu!...
Gdy nas żywych Bóg zachowa,
Będzie uczta na Wawelu!...
(Ezechiel odchodzi)

SCENA III.

SAMUCHA, KAZIMIERZ.

KAZIMIERZ.

Panie! kir czarny twą duszę obwleka...

SAMUCHA.

Milcz!... Nie psuj wróżby w mem sercu ra dości
Bo mnie kochanki wkrótce uścisk czeka...
I niebo całe w mojej duszy gości.
(bierze puhar)

W nieszczęściu ku mnie zdradzało jej łono...
A więc odważnie! ku klasztornym progom!
A ona teraz Zamojskiego żona!...
Zdrowie kochanki!... na pohybel wrogom!...
(wychyla puhar)

KAZIMIERZ.

Panie! ty trzecią już wychylasz czasę,
Ty — co prócz wody nie znafes napoju.

SAMUCHA.

Słuchaj! Już zbiegły dawne lata nasze,
Nie tej zachęty trza było do boju;
W pogoni Turka, dzikiego Tataru,
Na skrzydłach chwały śmiało gnał Samucha,
A chlubne wieści ojców ziemia stara
Echem do jego odsyłała ucha;
Lecz dziś... krew inna...

(wzdryga się i stoi chwilę przygnębiony)

Kazimierz! drogi!

Patrz, jaka straszna wybiła godzina;
To nie my winni, ale winni wrogci.
Ty — jedź do brata mojego Marcina;

Ja zaklinałem go dotąd daremnie,
Przeciw królowi niech spisków nie knowa,
Lecz jedź! i teraz powiedz mu odemnie,
Że jutro ujrzy mnie w murach Krakowa.

KAZIMIERZ.

Czyż mogę ciebie samego zostawić
W tym obcym domu, bez straży, pomocy?

SAMUCHA (porywczos)

Tak każę! Długo nie myślę tu bawić,
Na klasztor z wojskiem najędzdam tej nocy.

KAZIMIERZ (ściskając jego rękę)

Panie! na rozkaz twój w Krakowie stanę,
Niech cię Bóg z twojem pojedna sumieniem.
Czuwać nad tobą zdala nie przestanę,
Ja pragnę tobie być tarczą, ramieniem.
(odchodzi)

SCENA IV.

SAMUCHA (sam, siada na sofę)

Tak coś dziwnie myśli ścina,
Ołów gniecie mi powieki,
Niby bije ta godzina,
W której usnąć trza na wieki.
Coś tak ciągle w mózgu kręci...
Ale się usypiać boję,
A sen niewymownie ęci...
Tak trętwiąją wargi moje... (usypia)
To sen... różne w nim widziadła...
Znowu straszą jakby zmije,
Znowu widna twarz wybladła,
Która wiecznie we snach żyje!...
Precz!... precz cieniu!... któż cię woła?
Zetrzej krew, co z liców spływa!...
Wydrzej topor raz już z czoła!...
Twój morderca niech spoczywa!...
Lecz... raz pierwszy w oczach płonie
Łza pociechy, rozrzewnienia,
Tulisz dziecię twe na łonie...
Szepcesz słowo przebaczenia...

(Wapowska, Winrych i straż wchodzą z głębi, na znak Winrycha straż chwytą spiącego Samuchę, on mówi nieprzebudziwszy się jeszcze)

Powtórz jeszcze raz te słowa!

Przez nie klątwa z głowy spada!... (przebudza się)

Cóż za widma?... zmora nowa?...

To straż obca!... zdrada!... zdrada!...

SCENA V.

SAMUCHA, WAPOWKA, WINRYCH, STRAŻ.

WINRYCH.

Związać go silnie! Już więcej nie trzeba.
Straży kanclerskiej oddać niewolnika!

SAMUCHA.

Wapowska!... tutaj!... Sprawiedliwe nieba!...
To palec Boży zabójcę dotyka.

WAPOWSKA.

Panie Zborowski! jesteś w mojej mocy,
Już krwią niewinną nie zboczysz oręza,
Jako podpalacz nie najdziesz nas w nocy.
Mnie tutaj wiedzie cień mojego męża;
Niechaj cię odtąd już sądzi Bóg wielki,
Spełniłam goniąc ciągle w twoje ślady
Powinność wdowy i obywatelki.

SAMUCHA.

Walczyłem zdradą i ginę od zdrady.
(odchodzi ze strażą)

SCENA VI.

WAPOWSKA, WINRYCH później ZOSIA.

WINRYCH.

Wojsko kanclerza, który wierzy wieści,
Że banit z wojskiem do Krakowa dąży,
Częścią już w murach klasztoru się mieści,
Częścią około tego domu krąży.
Grodowej władzy oddajem zbrodniarza,
Choć nie wiem, kanclerz czyli rad z wygranej;
Lecz mnie los kwiatem szczęścia w tem obdarza,
Przy twojej, pani, obietnicy danej.

ZOSIA (wbiega)

Ach! mamu droga! wy tutaj siedzicie,
A tam żołnierze porwali biednego,
Co mi tej nocy uratował życie,
Ręce zwiążali... Mamu! ratuj jęgo!

WAPOWSKA.

Dziecię! cóż tobie znów się przewidziało?
W ojca zabójcy widzisz twego zbawcę?
Sprawiedliwości niebo go oddało,
W nim to masz wszystkich nieszczęść naszych sprawcę

ZOSIA.

To on! ten człowiek, który mnie ocalił,
Jego tam wloką... cóż z nim teraz będzie?
Na rękach wyniósł mnie, gdy dom się spalił...
Mamo! ja jego poznałabym wszędzie.

(sposstrzega łańcuszek, który Samucha opuścił).
Ach patrz! mój złoty łańcuszek od ojca,
Com dała jemu, bo więcej nie miałam.
On mnie ratował... to nie on zabójca!
Mamo! ja jego odrazu poznałam.

WAPOWSKA.

Ha! wielki Boże!... to on ciebie zbawił,
Dziecię me drogiel!... on mi wrócił ciebie,
On zbrodnię swoją tym czynem naprawił;
Ratuj go teraz! ratuj ojczę w niebie!

Moja to zemsta przed sąd go dziś stawia,
Na rusztowanie moja dłoń go wiedzie,
A on me dziecię z płomieni wybawia.

(do Winrycha)

Spiesz! wyrwij jego... bo zapożno będzie!
(Winrych odchodzi)

Ty klękni przy mnie tu, dziecińo droga!
Dla niego Boskiej błagajmy pomocy.

(Winrych wraca)

Gdzież on? czyż z więzów wydobył go wroga?
(Winrych)

Pani! zapożno!... już w kanclerza mocy.

(Wapowska z krzykiem przerażenia zakrywa sobie twarz.)

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

PRZYSŁOWIE.

Na siwce, z przewieszonymi sakwami, jechał rosły a wąsaty szlachcic gościńcem od Podlesia do Warszawy. Już dzień trzeci biedował w drodze, wyjechawszy z pod Łukowa. Dzień jeden brnął piaskami, co od Siedlec do Kałuszyna, jakby płachtą kilkomiłową, rozesały się szeroko i długo, dając znać, że coraz bliżej mazowiecka ziemia, a piasek mazurów rodzinny, wedle owej starożytnej piosenki, chwalącej rozum mazurów:

Chociaż w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.

Na czwarty dzień, wyjechawszy z lasów na wzgórze, ujrzał białą wodę Wisły, a za nią we mgle, czy w chmurze, stary gród, Warszawę. Im bliżej podjeżdżał, tem wyraźniej dostrzegał wyniosłe wieże, gmachy wysokie, wielkie miasto. Patrząc na nie, nie mógł się dosyć nadziwić, pierwszy raz bowiem oglądał stolicę. Z wlepionymi oczyma patrzył; a słońce właśnie rozbiwszy mgłę ranną, w całej okazałości oświecało miasto, wyniesione nad rzeką wspaniale. Nie znając p. Jakub Zaleski dobrze drogi, jechał za drugimi; trzymając jedną ręką sakwy, by mu ich kto nie ściągnął, drugą wiodł konia, a gawroniąc się to na miasto, to na czeredy idących i jadących, stanął szczęśliwie nad przewozem wprost Mostowej ulicy. Sterczały tu jeszcze pale i kilka baszt z onego sławnego mostu na Wiśle, który zaczął budować Zygmunt August, a siostra jego i małżonka Batorego dokończyła, co stał na palach niewzruszenie lat trzydzieści, aż niedbałością zniszczała. A tak, dzieło dobrego króla, pomnik godny podziwu, szczątkami swemi opierał się jeszcze wzburzonym wałom Wisły.

Wydobyszy się z natłoczonego promu, wsiadł na swoją siwkę i ruszył z kopyta. Wprost ulicy koło kościoła Pijarów zawrócił, a wskazaną drogą dojechał pod kolumnę Zygmunta III.

Tu stanął zdziwiony, i począł dumać nad tą świętą, jak mniemał, figurą; zdjął więc czapkę, przeżegnał się pobożnie, i już chciał wjechać w krakowską bramę, kiedy go tłum ludzi zatrzymał.

Przed bramą stały gęsto kramy przekupek, onego junaczego plemienia, głośnego zwinnością języka. Na tych kramach ustawione były jabłka, pomarańcze, cytryny, kwiaty w doniczkach i t. p., a baby olbrzymiego wzrostu, czerstwe, w jupkach lisich i ogromnych czepkach, wrzeszczały przeraźliwie. Pan Jakub, podjeżdżając bliżej, nie zważał na nałóg swej klaczki, że gdy stała, wierciła straszliwie ogonem. I teraz więc, stojąc tuż przy kramie, jak nim zakręciła, pozrzucała jabłka i kwiaty.

— A ty boćwiniarzu diabelski! — wykrzyknęła Marcinowa przekupka — złe cię tu naniósł, żebyś mi wszystko poniszczyl. A potrafisz, poganie, zapłacić szkodę? Tyś cały nie wart ze szkapą swoją tego, co mój stragan kosztuje. — Pan Jakub na te słowa tak obelżywe już się miał ofuknąć, gdy nagle pchnięty z boku, spadł z konia i stłukł się dość mocno na bruku. Spojrzał, kto go z siodła wysadził, i ujrzał trzy przekupki, które zrzuciwszy go z siwki, ze ściśnionymi pięściami i rozognionem obliczem okoliły go wieńcem.

Pan Jakub, choć potłuczony, raźnie się podniósł, a kumoszki, widząc, jak skrzywił oblicze, poczęły śmiać się głośno i gniew zamieniły w krzykliwą radość. Szlach-



Klasztor 00. Kamedułów w Bielanych pod Krakowem. (Ob. str. 466).

chcic widzi, że to nie przelewki; obrócił się więc do poszkodowanej Marcinowej i rzekł: — Mościwa pani dobrodziejko! Wielce przepraszam za moję wierzchówkę; ale pan Bóg świadkiem, że to z przypadku. — I skłonił czapkę.

Pani Marcinowa, dobrego serca niewiasta, na tak grzeczne przeprosiny przebaczyła wszystko, na znak swej łaski dała mu sześć pięknych jabłek i zapytała uprzejmie:

— Dokąd waszmość jedzieta?

— Do króla jegomości Sobka. ¹⁾

— Żleś waszmość trafił; król Sobek na łowy wyjechał do pałacu swojej pięknej pani. ²⁾

Pan Jakub poskrobał się po głowie i rzekł zasepiony:

— A cóż ja biedny pocznę? Nie wiem kędy się obrócić!

— Poczekaj waszmość, mój chłopak zna tę drogę, to was za miasto wyprowadzi, a ztamtąd łatwiej traficie.

Uradowany szlachcic pocałował poczciwą Marcinową w ramię, siadł na siwkę, co przestała wiercić ogonem, i ruszył za przewodnikiem.

Chłopak wyszedłszy za miasto, wskazał mu las po nad Wisłą, a Zaleski ruszył wolnego kłusa.

W drodze układał koncept do oracyi, którą miał wypalić okrągłemi słowy do króla Sobka. Dobierając wyrazów, to gładził czuprynę, to po niej się drapał. Nakreślił węża, dwa razy przewinął pas na sobie; aż wreszcie uradowany, że już miał całą przemowę, ubódl wierzchowkę piętami i ruszył żwawiej.

Ubiegłszy spory kawał drogi, dojrzał na strzał rusznicy jeźdca, co dążył drogą do pałacu w lesie. Dogał go wkrótce, a uchylając czapki

— Pomaga Bóg waszej miłości — zawołał — chciałem waszmości prosić, ażebyś pokazał mi drogę do króla naszego, Sobka.

Nieznamy obrócił się do szlachcica. Miał na sobie szary kontusz sukienny, żupan perłowy i czapkę tejże barwy. Dobrej był tuszy ciała, nawet nieco otyły; oblicze piękne, szlachetne, czerstwe, spojrzenie wyraziste, wąż zawieszony.

— To wasze — odrzekł — chcecie się widzieć z samym królem jegomością?

— Tak jest.

— A cóż to za tak ważny macie interes do niego?

— Wasza miłość wyglądasz na poczciwego pana brata, opowiem więc rzecz całą:

„Brat mój stryjeczny, pan Malcher, miał dawne wójtostwo w dożywocie, ale zmarło poczciwe człeczny-

sko tydzień temu i nie zostawił potomka. Owóż ja chciałem wyprosić dla siebie to wójtostwo!

— Jakież waszeci zasługi, ażeby król jegomości mógł się przychylić do jego prośby?

— Ja zasług ci żadnych, Bogiem a prawdą mówiąc, nie położyłem; ale mam dziarskich chłopaków. Jeden Marcin, służył w chorągwi nadwornej króla Sobka towarzyszem husarskim i był z nim wszędy, nawet pod Chocimem. Drugi służy w chorągwi królewicza Jakuba. Obaj w potrzebie dobrzy. Król Sobek kochany sam raczył chwalić ich męstwo, którego też noszą żywe znaki na ciele, od kuli z janczarek tureckich i strzał tatarskich.

— Jakżeż się Wasze nazywasz?

— Jakub Zaleski, szlachcic z pod Łukowa, czyste krwi po mieczu i po kądzieli; a wywieść się mogę z siedmiu pokoleń herbowych.

— Jestem dworzaninem króla jegomości, znam synów waszych, może da łaskawe ucho waszeci. A jak odmówi? — dodał, patrząc się bystro w szlachcica.

Pan Jakub aż się zachwiał na swojej siwce, słysząc te wyrazy.

— Co? nie da wójtostwa! — krzyknął nasrożony — Ha! to niech w ogon moję kobyłkę pocałuje!

I poprawił z gniewem pasa, a czapkę nacisnął na prawe ucho.

Dworzanin roześmiał się szczerze i rzekł do szlachcica:—Za godzinę król jegomości będzie widzialnym, wtedy waszec przybądź. Oto masz pierścień; jak go pokażesz, wpuszczą cię do króla.

I skłoniwszy się głową odjechał, a szlachcic włożywszy sygnet za pazuchę, wjechał na dziedziniec pałacu.

Tu zsiadłszy z wierzchówki, z jednej sakwy nasypał owsa na trawnik, a z drugiej wydobywszy chleba i wędliny, zjadał smaczno oczekując wyznaczonego czasu.

Zegar bije godzinę, pan Jakub ociera co żywo węża, a palce o czuprynę, gładząc ją udatnie, dobywa sygnetu i ogląda go ciekawie. Na dużym krwawniku, w herbownem polu, była wryta tarcza. Nie poznawał, co za herb, mało wszakże dbał o to, wiedząc, że ten pierścień z tarczą zrobi mu przystęp wolny do króla.

Rusza więc żwawo i wchodzi do pałacowej sieni. Towarzysz husarski na straży zatrzymał go przy wnijsciu; ale gdy sygnet ukazał, skłonił głowę, i pan Jakub wstał na schody wskazane przez niego.

Tu zatrzymało go kilku dworzan, lecz za ukazaniem pierścienia z ukłonem przepuścili szlachcica, otwierając mu drzwi na rozścież do wielkiej komnaty.

¹⁾ Tak lud i szlachta zwała króla Jana Sobieskiego. Mamy też przysłowie na częsty nieurodzaj i głód pod jego panowaniem:

„Za króla Sobka, nie było w polu i stodole snopka.“

²⁾ Marya Kazimiera, żona Jana III., wystawiła ten pałac w kniei, gdzie lubił król polować, i nazwała go od swego imienia Marymontem. Pałacyk ten, w kształcie pierwotnej budowy, dochował się w całości.

Pan Jakub wchodzi: widzi stojących wielkich panów z odkrytymi głowami, strojnie i bogato ubranych, oczekujących na króla. Ciekawie spozierał, czy go gdzie nie ujrzy; aż w tem wychodzi w czarnym kontuszu i perłowym żupanie ów nieznamy dworzaniek, co mu dał sygnet, ale miał czapkę na głowie i nie zdjął jej wcale.

Szlachcic, na widok znajomego, już rad się uśmiechnął, lecz gdy ujrzał, że czapki nie zdejmuje, a panowie schylonemi głowy witają go z uszanowaniem, zatrwożył się nieco, bo zmiarkował, że to być musi sam król Sobek.

Jan III. z uśmiechem wesołym patrzył na pomieszanie pana Jakuba; wreszcie wyrzekł:

— A cóż wasze, poznałeś króla Sobka?

Zaleski chciał ukłęknać, ale król go podniósł.

— Jakże będzie — mówił dalej łagodnie — jeżeli wójtostwa nie dostaniesz?

Pan Jakub, nie w ciemię bity, uściskawszy kolana królewskie, odrzekł śmiało:

— Najjaśniejszy panie! słowo się rzekło, kobyłka u płotu.

Król rozśmiał się serdecznie i kazał wydać dyplom na wójtostwo, a słowa szlachcica poszły w przysłowie, które dotrwało dotychczas. Używamy go zwyczajnie dla przypomnienia, że słowo dane musi być dotrzymanem. ¹⁾

K. Wł. W.

Ż E G L A R Z.

Spokojnie łódź odbija od nadbrzeżnych piasków,
Gdy pierwszy brzask młodości rozpromienia fale
I obraz mar tęczowych rzuca po krzysztale,
Zdobiąc je w cudne kształty wśród jutrzeńki blasków;
I żeglarz zatopiwszy swe oko w głębinie,
Szukać światów nieznanych bez troski wypłynie.

I płynie łódź swobodna jak lot ptaka żyży,
Skrzydłata świetlanemi: wiarą i nadzieją,
Na wschód tam, kędy pierwsze blaski promienieją,
Ku światłu bez wytchnienia coraz dalej, wyżej,
Aż z mglistych zasłon ranka, kędy fala senna,
Wstanie światła królowa jasna i promienna.

Już w dali brzeg zielony zabłyśnie uroczy
I odpoczynkiem słodkim żeglarza omami;
Więc upoiwszy serce złocistemi snami,
A blaski tęczowemi rozmarzone oczy,
Zwraca kruchą swą łódkę z nadzieją ku stronie,
Kędy cudną pięknością obraz szczęścia płonie.

I płynie łódź swobodna dalej, coraz dalej;
Lecz barwa mar tęczowych, tak świetna zamłodu,
Szybko blednieje w chmurach ziemskiego zawodu;
I żeglarz, porzucony na żywota fali,
Widzi niknący obraz, który duszę łudził,
I już go sztydząc wicher z snów złotych przebudził.

Już widzi wkoło siebie pustynię bez końca,
Tysiące mil od brzegu na zgubnej otchłani,
Nigdzie wyspy zbawienia na cichej przystani,
Tylko nad jego czołem żar palący słońca;
I chyli skroń samotny wśród żywota spieki,
Gdy łódź go niesie dalej — hyżo w świat daleki:•

A na zachodnim niebie już się piętrzą chmury,
I parna jakaś cisza na wodnej przestrzeni;
I musnęła o fale skrzydłami hyżemi
Mewa, a duchy wodne nucą hymn ponury,
Jak by spiewem przywołać nimfy rozmarzone,
Za nim się puszczą z niemi w swe płąsy szalone!

Już w podziemnych przepaściach grzmi muzyka wściekła,
Muzyka pełna jęków strasznej dysharmonii
I pełna śmiechu takiej rozpacznej ironii,
Jaką chyba usłyszeć kiedyś na dnie piekła,
Gdzie się dziko mieszają demoniczne śmiechy
Z jękami potępieńców cierpiących za grzechy!

A po nad piętrzącemi się dziko bałwany, —
Co bez litości łodzią maleńką rzucają,
To cisną ku niebiosom, to w przepaść wirującą, —
Płynie samotny żeglarz walką skołatany,
Gdy sztydząc wyzieraają z wodnistej pieczary
Tak cudne niegdyś kształty lat młodzieńczych wiary!

¹⁾ Opowiedziany tu wypadek jest w całości swej prawdziwy; zachowało go podanie w rodzinie Zaleskich. Wspominają o nim nadto książę Jabłonowski w rękopisie przysłów swoich 1702 r. i Wacław Potocki w Jovialitates 1747 r.

I znikła już na zawsze z ponad smutnej skroni
Ta gwiazda, która wieść go miała śród podróży;
I dalej pośród życia szalejącej burzy,
Gdy wiośło mu wypadło z drżącej bolem dłoni
I kruchy ster na wszystkie strony się już chwieje,
Rzuca najdroższą perłę żywota: nadzieję.

Burza zwolna ustaje, cicha noc zapada
I do snu już kołysze żywioł rozburzony,
A światła nocy zdobią błękit rozjaśniony,
I z łona wód księżycy płynie postać blada,
I znowu słychać fali plusk, szemrzący, lekki;
Tylko łódka i żeglarz zginęli na wieki!

URIELA.

Klasztor OO. Kamedułów w Bielanych pod Krakowem.

Stara stolica piastowska słynie w całej Polsce z przeszlicznych okolic, a do najpiękniejszych należy bez zaprzeczenia góra bielańska, ze znajdującym się na jej szczycie klasztorem OO. Kamedułów.

Jadąc z Krakowa bitym gościńcem, snującym się ponad Wisłą w kierunku Szląska, spostrzega się za wioską Przegorzały niejako przednie strażę tej góry, prostopadłe niemal skały, przez które wije się kręta ścieżka do góry. Wspinanie się po tej ścieżce jest dość trudne, ale zato za każdym krokiem sownie wynagradza trud wędrowca rozszerzający się coraz bardziej widok. Dopiero u samego prawie szczytu zasłania przestwór gąszcz leśna, stare dęby i brzozy tworzą jednolite prawie sklepienie, ale w końcu rzadnieje las, i ciekawemu oku ukazuje się mur otaczający dokoła pustelnię.

Mur ten kamienny, zczerniał wiekiem, w wielu miejscach poszczerbiła już dłoń czasu, ale o naprawie jego nikt nie myśli, bo wiek już nie po temu. W pobliżu dopiero zabudowania klasztorne to opasanie kamienne w większym jest porządku, bo też ta strona częściej się z okiem ludzkim spotyka.

Wąska ulica, bieżąca pomiędzy dwoma murami, wiedzie do bramy klasztornej, która dla mężczyzn zawsze, dla kobiet zaś tylko parę razy do roku bywa otwierana. Po przebyciu jej stajemy przed kościołem obszernym i pięknym. Wielkością równa on się rozmiarom kościoła świętokrzyskiego w Warszawie, a nawet front jego, z dwiema po bokach wieżami, ma nieco podobieństwa z tą świątynią. Fasadę jego zdobi wyłożenie marmurem białym, dokonane ręką Jakuba Lapidice, budową zaś kierował Jan Succatori, nadworny architekt Zygmunta III. Ośm kaplic, osadzonych czarnym marmurem dębnickim, odbija bardzo uroczo od białych ścian cichej i samotnej świątyni.

Początek tej budowy nie sięga zbyt dawnych czasów. Mikołaj Wolski z Podhajec, sławny wojownik na morzu i na lądzie, marszałek wielki koronny, powróciwszy z Rzymu, gdzie na dworze papieskim posłował, postanowił zbudować pustelnię dla Kamedułów. Przez jakiś czas

przebywał on w Mons coronae nad jeziorem Perugia we Włoszech, i upodobał sobie ten zakon, a znalazłszy odpowiednie miejsce na górze lesistej o milę od Krakowa odległej, nabył ją od Sebastjana Lubomirskiego, kasztelana wojnickiego, za piękny serwis srebrny, i ztąd też poszła jej nazwa: Mons argenteus (góra srebrna).

Wzniesienie tej pustelni kosztowało ogromną, jak na owe czasy, sumę 500,000 złotych. W r. 1608 rozpoczęto budowę, ale zmarły we 22 lat potem Wolski nie doczekał się jej poświęcenia, które dopiero dnia 14. września 1642 r. nastąpiło.

Klasztor bielański nie bardzo obfituje w wspomnienia historyczne. Najważniejszym z nich jest pamiętny nocleg króla Jana Kazimierza, uchodzącego na Szląsk przed Karolem Gustawem, w chwili, gdy płonęły przedmieścia Krakowa. W późniejszych czasach przepędził tu król August II. ostatnie dni wielkiego tygodnia na rekolekcyach.

Kościół bielański pogorzał w znacznej części w r. 1814 skutkiem zapuszczonego przez nieostrożność ognia, ale dziś nie ma już ani śladu tego uszkodzenia. Na tem się kończy kronika pustelni; ale pamięć włoskiego pochodzenia cięży po dziś dzień klasztorowi, gdyż przeorem i podprzeorem są dwaj zakonnicy Włosi, którzy nadwyżkę klasztornych dochodów corocznie wysyłają do Włoch, z wielkiem utyskiwaniem mieszkańców Krakowa.

Pod kościołem, zwyczajem zakonu św. Romualda, znajdują się katakumby, do których każdemu przystęp otwarty. Jedne z nich, już zamurowane, pokrywa czarny napis, opowiadający, czyje szczątki w nich spoczywają; inne otwarte, głębokie, ciemne, jakby niecierpliwie oczekiwały łupu im należnego.

Przez boczną nawę i zakrystyą przechodzi się do ogrodu. Tu w równych odstępach stoją bieluchne domki, pośród grządek i kwiatów. W każdym mieszka jeden zakonnik, w każdym w pośrodku sień, po jednej stronie izdebka, a po drugiej mała kapliczka. Schludność domków, ozdobne błąby kwiatów, wabią wdziękiem ku sobie. Tu śród bieli, zieleni i błękitu niknie tęskne wrażenie samotności; tu dopiero można pojąć oderwanie się od burzli-

wego świata i ciche, spokojne, bo odosobnione życie. Nie zadziwia też wcale poważna twarz starca, srebrnym uszlachetniona włosem, który tu zamknął dni swoje. Gdzieżby po tylu zawodach i przeciwnościach milej życie zakończyć można? Ale gdy ujrzysz bladą i wcześniej wygasłą twarz młodego zakonnika, gdy wpatrzysz się w to oblicze, ciężarem samotności zgniecione i jakąś przepel-

nione tęsknotą, wówczas urok pustelni nie pociąga, i rad jesteś, gdy za murami wolnem odetchniesz powietrzem.

Nakoniec zasługuje jeszcze na wzmiankę murowana altana, znajdująca się na końcu tego ogrodu. Szczupła z niej furtka prowadzi na skaliste urwisko, z którego przedstawia się oku najcudniejszy widok na okoliczne wsie i miasta, sięgający aż do wyżyn galicyjskich i Tatrów.

OR SZA.

PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK HISTORYCZNY Z R. 1789.

PRZEZ

PAULINĘ z L. WILKOŃSKĄ.

Bóg nas upatrzył pomiędzy narody
Na wzór, świadectwo i naukę świata,
Jak chrześcijańskiej narodu swobody,
Tak chrześcijańskiej władzy majestatu...
A dzieje nasze — to wciąż bój a próba
Cnót chrześcijańskich i pokus szatańskich.
A. E. ODYNIC.

I.

Przez saski dziedziniec zmierzał młody kapitan od artylerji: wysoki, silnej budowy, przystojny blondyn, gdy od ulicy królewskiej nadchodził drugi tejsze samej broni. Ten ostatni był nieco niższy, smuklejszy, żwawych i eleganckich ruchów, brunet z czarnym niemal wąsikiem. Zobaczywszy kolegę, dążącego ku ulicy Wierzbowej, przyspieszył chodu i zawołał:

— Stasiu! Rudnicki!

Tamten się obejrzał i przystanął. Miły wyraz jego wydatne skрасił rysy, i wyciągnął rękę ku nadbiegającemu.

— Jak się masz, kochany? Jak się masz, Jerciu? — Uścisnęli się przyjaźnie.

— Kiedyżeś wrócił?

— Przed godziną dopiero.

— O chwała Bogu, że ciebie mam znowu! Ale cóż tam słyhać u was? Jakżeż twój ojciec?

— Znacznie mu lepiej, niemal dobrze zupełnie. Urlop się skończył, więc wróciłem.

— Och, rad temu jestem nad określenie!

— A cóż tu macie nowego?

— I wiele! — Jerzego ciemna połysnęła źrenica. — Czy już wiesz, że Poniński wreszcie aresztowanym został?

— Mówił mi o tem obywatel, jadący z Warszawy, na popasie. Ale opowiedz bliższe szczegóły. Ciekawy jestem.

— Został aresztowany 1. czerwca, w mieszkaniu wła-

snem, w pałacu Patkańskich, i pod ścisłą jest trzymany strażą.

— Stała się przecież sprawiedliwość zdrajcy!

— Wiadomo ci, że poseł chełmski, Suchodolski, wołał dlań o wymiar kary; za jego przykładem i inni ozwali się posłowie, aż wreszcie cała izba jednomyślnie uwięzienia jego zażądała.

— A cóż król?

— Król niby to go bronił, i niektórzy przy królu...

— Słabi albo nikczemni!

— Ale to nic nie pomogło, i trzymają ptaszka.

— Z jakimież głównie przeciwko niemu wystąpili punktami?

— Że się o marszałkostwo nie w kraju, ale w Petersburgu postarał; że dla upewnienia sobie tej godności, przyrzekł spełnić wszystko, cokolwiek Moskwa z Polską uczynić zechce; że Rejtana za to, iż mu laski marszałkowskiej wzbraniał, by nie dopełnił zdrady, chciał na śmierć skazać; że podział kraju podpisał na lat kilka pierwej w gabinetach berlińskim, wiedeńskim i petersburskim, a za swego marszałkowania, pod zasłoną zbrojnego, obcego żołnierstwa doprowadził do skutku...

— Znadto wielkie to zbrodnie! — zawołał Rudnicki — a świadome przecie krajowi całemu.

— Dalej, że urzędy sprzedawał, a wziął niekiedy za jeden od trzech i czterech pieniądze... I któżby tam spaścił wszystkie jego niegodziwości!

— Z podłej duszy łańcuch snuje się występków, a końca im nie masz!

— Naznaczono zatem sąd na niego, złożony z dwudziestu czterech sędziów — mówił Jerzy dalej. — Nazwiska ich wyciągnął z urny chłopczyk od dzieciątka Jezus, ten sam, który ciągnie loteryą.

— Cześć Suchodolskiemu, że przeprowadził ten akt

sprawiedliwość odważnie i z energią! Cześć i drugim, którzy za jego poszli głosem. Niech żyje Rzeczpospolita, wolność i wiara!

— Cześć Rzeczypospolitej! Miłość polskiej ojczyźnie! Wolność, wiara i braterstwo! — dodał Jerzy z rozjaśnioną żrenicą.

— A cóż słyhać więcej? — zapytał Rudnicki po chwili.

— Mówią, że król sekretnie panią Grabowską poślubi...

— W chwili, gdy wielu nad dziedziczością tronu przemysłiwia?

— To też, ot, pewnie tylko sobie brukowa nowinka. Kazio po zaręczynach z panną Michaliną.

— Więc zezwoliła wreszcie starościna?

— Zezwoliła.

— Dzięki Bogu! Pocziwy chłopak wdzięczną a dobrą będzie miał żonę. Rozradowałeś mi serce tą nowiną. Cóż robi pani podkomorzyna i panna Zofia?

— Zdrowe. Spotkałem je dziś rano w Saskim ogrodzie.

— Dokądże biegniesz?

— Do generała, kazał mnie wezwać po służbie.

— A jam zameldował się właśnie.

— Czy zobaczymy się dziś jeszcze? Mam z tobą do pomówienia...

— Przyjdź do Ignasia wieczorem. Będę tam o godzinie dziewiątej.

— Przyjdę z pewnością.

— Do zobaczenia!

— Do widzenia!

Podali sobie ręce.

Rudnicki pobiegł ulicą Wierzbową. Jerzy zatrzymał się chwilę, patrzył za przyjacielem, jak gdyby z nim popołu pójść pragnął. Spojrzał na zegarek i szybko ku Krakowskiemu przedmieściu zawrócił, poszepnąwszy sobie: Powinność przede wszystkim!

Rudnicki minął Marywil, ulicę Bielańską, skręcił na Tłumackie i szybko zmierzał na Leszno, gdy piękna twarz jego coraz jaśniejszy przybierała wyraz.

II.

Słońce zniżało się ku zachodowi. Szeroką ulicą Leszna orzeźwiający zawiął wietrzyk. Na balkonie jednej z większych kamienic stało duże drzewko pomarańczowe, róż parę i cyprys. Przy drzewku biało-kwieciowym ukazała się młoda postać dziewczyna w białej sukience. W płowych włosach świeżą miała różyczkę. Szczupła, wiotka, wsparła się na kamiennej krawędzi, a cała postać, przed zachodem ozłocona światłem, wśród tych roślin zielonych uroczy przedstawiała obraz. Twarzyczkę wdzięcznych rysów, bielutką, z różowym na licu odcieniem, opromieniał wyraz młody, swobodny; na rumianych ustach

lekki, słodki igrał uśmiech, gdy oczy duże, modre, z narysowaną wyraziście brewką, zapatrzone były w stronę Tłumackiego spojrzeniem dalekiem, tęsknem, jak gdyby wyglądały czegoś lub kogoś.

W teje samej chwili kapitan Rudnicki szybko Lesznem przydązał. Panna go spostrzegła, zwróciła się ku drzwiom otwartym salonu i ożywionym zawołała głosem:

— Mamo! Matuchno! Pan Stanisław, kapitan Rudnicki powrócił! Idzie tu właśnie...

— Powrócił! — Z kanapy w narożniku podniosła się dobrej nieco tuszy pani, miłego lica, i odkładając robotkę jakąś, wyrzekła: — Dzięki Bogu! Bo zapewne stan zdrowia pana chorążego polepszył się znacznie.

Panna na balkon wróciła i wsparła się znowu na krawędzi kamiennej.

Kapitan nadbiegł, uniósł wzrok w górę i pokłonił się głęboko, z radośnym we wszystkich rysach wyrazem. Panna odkloniła się z uśmiechem. Potem znowu przeciągła, dalekie, gwiazd modrych wysłała spojrzenie... przechyliła się nawet, ażeby wzrokiem sięgnąć dalej, i dopiero gdy drzwi w salonie stuknęły, przestąpiła próg tegoż.

Kapitan matkę jej w rękę całował. A ta pytała go z współczuciem:

— Jakżeż jegomości ojcu pańskiemu?

— Znacznie lepiej, mościwa pani podkomorzyno, niemal dobrze zupełnie.

— Cieszę się z tego niezmiernie.

— Panno Zofio! Szczęśliwym, że panią widzę! — Pobiegł ku panience, ujął jej rączkę i do ust poniósł.

— Jejmość pani podkomorzyna była zdrową przez ten czas cały?

— Zupełnie zdrową.

— Panna Zofia także?

— Jakby rybka w wodzie! — uśmiechnęła się podkomorzyna. — Kapitan już słyzałeś o aresztowaniu Ponińskiego?

— Słyzałem ze szczegółami.

— To straszna historia!

— Straszna! A wymiar sprawiedliwości koniecznym.

— Mówią, że srogą wymierzają karę.

— Najsroższa, zasłużoną będzie.

— Taki dygnitarz!

— Zdrajca kraju!

— A familia jego!

— Zapredaniec nikczemny, zbrodzień ohydny, wszelkie do niej utracił prawa, i winien gardłem odpowiedzieć swoim!

— Och, Boże! — podkomorzyna dłonią zacisnęła oczy.

— Odroźnie! — poszepnęła Zofia i aż niby pobladła...

— Pomnijcie panie, że on część trzecią Polski oddał na łup obcym! Miliony ludzi zapredał i popchnął w nie-

szczeście!... A ileż to ofiar padnie zapewne przez długie lata niewoli!

— Prawda, prawda! — podkomorzyna załamała ręce.

— Boże ochroń! — westchnęła Zofia.

— Jemu tak wiele zarzucają złego, tyle innych jeszcze przestępstw! — mówiła pani domu znowu.

— Bo kto najstraszniejszej dopuścił się zbrodni, zdrady kraju, ten i każdą inną popełni z łatwością!... Lecz mówmy o czemś innym, bo to pani usposabia smutno.

— Warszawa obecnie o niczem innym nie mówi.

— A Warszawka nasza pocziwem jest miastem, serdecznie patriotycznym.

W tej chwili weszła panna garderobna i poprosiła z sobą panią podkomorzyńską.

— Przepraszam, kapitanie — wymówiła ta ostatnia — ale wrócę zaraz — i wyszła z garderobną.

A Zofia zwróciła się w tej samej chwili ku drzwiom mówiąc:

— Tak tu duszno, ciężko w pokoju, chodźmy raczej na świeże powietrze — i zlekka wsunęła się pod drzewko pomarańczowe. Rudnicki obok przystanął.

— I cóż pani porabiałaś w tym czasie, panno Zofio? — zapytał.

— Haftowałam, czytałam, grałam na szpincie — odrzekła panna z uśmiechem.

— Dwa miesiące, to czas nielada! Pannie podkomorzance może nie wydawał się długim.

— Miałam zajęcie...

— A czy też dobra panna Zofia choć kiedy wspomniała o mnie?

— Owszem... Mówiliśmy często o panu, o chorym ojcu pana Stanisława...

— Tyle czasu upłynęło, jak nie widziałem pani! — Spojrzał się ku niej, a w siwym jego oku, tak pocziwego wyrazu, ponad wszystko serdeczne, głębokie mówiło uczucie.

Panna wsparta na krawędzi w tym czasie patrzyła gdzieś tam daleko, daleko, a młody kapitan w jej cudne szafirowe gwiazdeczki...

— Tęskniłem, o jakżem tęsknił! — mówił dalej głosem przez wzruszenie tłumionym — a z jakimże szczęsem wracałam uczuciem!

Zofia obejrzała się na salon, czyli matka nie nadchodzi, bo ją zwrot rozmowy kapitana zaniepokoił trochę.

— Byłem w Gajewie — zaczął znowu.

— Byłeś pan? — Zofia ożywiła się nagle i przecudnem uderzyła go wejrzeniem.

— Odwiedziłem podkomorzycę.

— I cóż porabia Janek, drogi mój braciszek? — pytała rozjaśniona cała.

— Zdrów, dobrej myśli, wesół, wybiera się do Warszawy...

— O gdyby przybył co rychlej!

— Zwiedziłem ogród, niemal każde miejsce z lat młodziutkich pamiętne. Owę wielką trześnię...

— Z której pan Stanisław pierwsze zapłonione dla mnie zrywał jagódki!

— Rozłożyła się szerzej, ale już skruszała starowinka. Byłem u stawu.

— Po którym wozieś mnie nieraz! Dogadzałeś upartej, natrętnej dziewczusce...

— Byłem i w lasku.

— Gdzieśmy grzyby zbierali. A pan Stanisław w koszyczek mój oddawał wszystkie, które znalazł, i mnie zaszczyt znajdźby ich przekazał... Ale, ale, a czy on wazon sklejonny istnieje jeszcze?

Stoi jak dawniej w narożniku na słupku.

— Kit długo trzyma. O pamiętam, żywo na zawsze pamiętam tę chwilę! — Złożyła dłoń i wzrok niebiański podniosła. — Sięgałam po brzoskwinie, dziewczuska łakoma i zrzuciłam piękny wazon sewerski, tyle ulubiony przez ojca. Przestraszyłam się na śmierć, żem nawet zapłakać nie mogła. Było nas tylko dwoje w bawialni...

— A jam nie wiedział, co począć...

— W tem nasi weszli ojcowie... Pan Stanisław poskoczyłeś ku mojemu tacie i oskarżyłeś siebie o stłuczenie wazonu.

— Lecz panna Zosia mi tego nie dozwoliła zaszczytu.

— Jakżeż mogłam? Jakże mogłam! O mój Boże, to przecie byłoby grzechem!

— Pani miałaś wtedy lat siedm.

— Pan lat czternaście... A surowego miałeś ojca! Spieraliśmy się o tę winę...

— Panna Zosia wołała ze łzami: „Jam stłukła wazon!“

— A pan Stanisław przybrał bohaterską minę, twierdząc, że jest winowajcą! Wtem ojcułek kochany wziął mnie w objęcie i do serca przycisnął... Pan chorąży patrzył w okno, jak gdyby Bóg wie co miał wypatrzeć! a ja, chociaż dzieckiem byłam jeszcze, wyraz twarzy jego spałmętałam na zawsze. Był wzruszonym dziwnie.

— Nawet mnie pogłaskał, co nader przytrafiło się rzadko. Byłem w kościele także.

— I pomodliłeś się przed śliczną matką Boską w wielkim ołtarzu!

— A z jak serdecznym uniesieniem!

— Wierzę, wierzę.

— Byłem na cmentarzu...

— Odwiedziłeś grób mojego ojca!

— Świerk znacznie podrośł przy grobowcu...

— O mój tatko najdroższy! — Zofia miała łzy w głosie i w oczach.

Chwila rzewnego potrwała milczenia.

— Mówiłem z podkomorzycem, z Jankiem kochanym... O, ja nie umiem dobierać wyrazów!... Panno Zofio! — zło-

żył dłonie i pochylił się ku niej — kocham panią ponad wszystko! Czy pozwolisz, bym matkę o twoją prosił rękę?

— O mój Boże! Boże litościwy! — zawołała Zofia pobladła, zaciskając dłońmi oczy — Panie Stanisławie! Mój Boże! Jestem jakby siostrą twoją!... Masz siostrę we mnie.

— I co? Co? — tchu mu zabrakło.

— Masz siostrę we mnie, z najszczerzem życzeniem, ale...

— Ale... co? — pytał głucho, blady jak mara.

— Kocham... innego... poszepnęła głosem dosłyszczanym zaledwo.

— Kogoż? — usta jego konwulsyjnie zadrgnęły.

— Kapitana Napiórkowskiego...

— Jerzego! — wyrwało się z piersi Stanisława.

— Och panie mój dobry! Wybacz! Wybacz! — błagała Zofia, załamując ręce — Któż za serce swoje odpowiadać może? — cichym dodała poszeptem.

— Pani lepszego nie mogłaś uczynić wyboru — odrzekł Rudnicki z dziwnym spokojem — najzacniejszy to, najszlachetniejszy chłopiec! Przyjaciel mój najlepszy! Ocalił mi życie, swoją zasłoniwszy mnie piersią.

— A następnie wypłaciłeś mi się sowicie, ciężkie, niemal śmiertelne za niego odbierając cięcie...

— Połączyła nas krew wspólnie przelana i przyjaźń, jakich istnieje nie wiele. Bądź z nim szczęśliwą! — Przycisnął do ust jej rękę, na którą iza gorąca upadła.

Zofia poza drzewkiem pomarańczowem chusteczką zacisnęła oczy.

— On wie, że jest kochanym? — pytał Stanisław głosem stłumionym.

— Wie.

— Nic mi nie mówił, mój Boże! A widziałem go przed chwilą...

— Powie... wyzna wszystko!... Oświadczył mi się wczoraj dopiero.

— Jam go tutaj wprowadził — mówił Rudnicki dalej — a tylko serdecznego wybrańca tutaj wprowadzić mogłem. Znać tak chciała opatrność! Bądźcie oboje szczęśliwi! pragnę tego z całego serca, z całej duszy mojej! — Potarł czoło dłonią, jak gdyby z niego smutne chciał spędzić myśli. Wyprostował się, a na twarz jego zwykły pogodny powracał spokój.

Podkomorzyna do salonu wróciła, i wyszła także na balkon. Stanisław podał jej krzesło, usiadła. A Zofia w tej chwili wysunęła się nieznacznie i do swojego pobiegła pokoju.

Stanisław opowiadał podkomorzynie o jej synie ukochanym, o ich wiosce dziedzicznej, Gajewie...

— Ale otóż i szambelaniec Teobald! — przerwał sobie opowiadanie.

— Przyspiesza nowiniarz — uśmiechnęła się pani domu — a znać mu pilno.

Niemłody już fireyk, strojny, szastający się, nadchodził, uderzając elegancko obcasem o obcas. Spojrzał ku balkonowi i pokłonił się z gracyą wyuczoną. Po chwili wbiegł do salonu i zaprawił całą atmosferę jakimś modnem, odurzającym pachnidłem.

— Ściele się do stópek — szastał się, jakby na lekcyi tańca — Jejmość pani podkomorzyny dobrodziejki najuniżeńszy pacholek!

— Witam szambelanica!

Podkomorzyna wyszła z nim na salę, i wskazała mu krzesło.

— A gdzież panna Zofia, *cette rose adorable*, pani mościwa?

— Nadejdzie pewnie.

Stanisław pozostał chwilę na balkonie, a potem nadszedł także i usiadł.

— Warszawa obecnie, au *suprême*, jest zajęta tą niešťęsną sprawą Ponińskiego — zaczął szambelaniec po chwili.

— Zdrajcy, zbrodniarza! — dorzucił Rudnicki.

— I wszystkie jego, moci dobrodzieju, wywłóczą grzeszki, nawet i eleganckie... jak ot, Kozłowskiego...

— Co to za Kozłowski? — pytała podkomorzyna.

— Patron. Jejmość pani o tem nie słyszała?

— Nic nie wiem.

— O!! Miał ładną żonkę, a Poniński mu ją odmówił — zaśmiał się stary grzesznik cynicznie — że biedakowi aż pomieszały się zmysły, bo znać kochał ją bardzo.

— Och niegodziwiec! — zawołała podkomorzyna z oburzeniem. — A waszmość jeszcze żarciki z tego stroisz?

— Ha, *que voulez vous, madame?* C'est à la mode! Posłużyła mu fortuna, znać serce ma jeszcze młode. Ale co to będzie? Co stanie się teraz?

— Stanie się zapewne, co nastąpić powinno — wymówił Rudnicki.

— Familia au *suprême* jest zaniepokojoną...

— Familia zdrajcy kraju wyrzec się powinna. Przestał już być bratem, obywatelem, szlachcicem, Ponińskim, Polakiem!

— Ca se dit. Ale, moci dobrodzieju, zawsze to dygnitarz.

— Dygnitarz... Rudnicki zęby zaciął. — Pani podkomorzyna pozwolisz, że ją pożegnám — przystąpił do niej i pocałował ją w rękę.

— Pan już odchodzisz?

— Obiecałem się kolegom. Upadam do nóg... Pannie Zofii uszanowanie moje. — Skinął głową szambelanicowi i wyszedł.

Ten ostatni, po wyjściu kapitana, począł różne ze świata eleganckiego wygłaszać nowinki, ploteczki, obmowy, że pani domu po razy kilka biegle jego żądętko powstrzymać musiała.

Po chwili Zofia nadeszła. Była bledszą nieco, powieki miała zróżżone, lecz zmrok już zapadać począł, więc i nikt tego nie dojrzał.

Szambelan się porwał, szastnął modnie, i sypał a n s u p r ê m e przeróżne, monstrialne nawet komplementa, jakby z rogu obfitości.

Zofia jedynie milczącym odpowiedziała mu ukłonem. Obejrzała się nieznacznie po salonie. Stała we drzwiach na balkon, a gdy Stanisława nie było nigdzie, westchnęła z cicha z wyrazem żalu. Spojrzała w stronę Tłumackiego, zawróciła do salonu i przy matce usiadła.

III.

Wieczór był prześliczny, jasny. W Krasieńskich ogrodzie spacerujący przesuwali się licznie, miłym napawając się chłodem.

Środkową ulicą szło zwolna dwóch oficerów od artylerji, a obadwaj urodą swoją uwagę zwracali przychodniów: byli to Rudnicki i Napiórkowski.

— Pragnąłem z całej duszy twojego powrotu — mówił Jerzy — wyglądałem cię, jak kochanek kochanki. Bo otrzymawszy zezwolenie panny Zofii, proszenia matki o jej rękę, ciębie, mój Stasiu, na swata wybrałem swojego, najlepszy, jedyny mój przyjacielu! A wszakże jesteś i przyjacielem, jakoby bratem, aniołka mego!... Od dni trzech jestem szczęściem upojony swoim... gdy z ust jej czarujące posłyszałem słowo! Upojony, odurzony, szalony szczęściem. Bo i jakże ją kocham! Jakże ją kocham! Ciebie brakowało mi tylko, by z tobą tem podzielić się uczuciem. A jeszcze, zdaje mi się, że zawiniam wobec pani podkomorzynny, którą cenię, szanuję, jak własną matkę. Chciałem klęknąć przed nią i zawołać odrązu: „Matko, posiadłem serce córki twojej, racz nam swoje dać błogosławieństwo!..“ Ale jakkolwiek zacna, szlachetna i dobra, zważa jednakże na pewne w towarzystwie przyjęte formy, na ceremoniał właściwy, zatem wstrzymałem się aż do twojego powrotu. Teraz mam już ciębie, i otóż błagam: pomów z panią podkomorzynną! Oświadczyć jej mój afekt! Ona ceni ciębie jak syna! Byłeś jej w zastępstwie pana Jana nieraz już pomocą i radą!... Stasiu, ty mi nie odmówisz tego dobrodziejstwa! — Młodzian z gorącym uczuciem rękę jego uściśnął.

— Jutro, jutro zaraz dopełnię, czego żądasz — odrzekł Stanisław głosem stłumionym nieco.

— Och, dzięki tobie, przyjacielu jedyny! Matka moja przyjedzie i z całą atencją przynależną o rękę panny Zofii poprosi. Ale ciężko mi na duszy, że ukrywamy się przed najlepszą z matek. A wiesz przecie, z jakim dla rodziców i osób starszych byłem i jestem zawsze uszanowaniem, bo mnie tego nauczono z dzieciństwa.

— Może panna Zofia matce wyznanie zrobiła...

— Nie wiem, być może... Ona jest tak tkliwa, tyle matkę kocha!... Ale wierzaj mi, gdy wczoraj był u pani podkomorzynny, gdy spotkałem matkę i córkę w ogrodzie saskim... niby wyrzut palił mi czoło tą tajemnicą.

— Jutro przed południem będę u podkomorzynny.

— Niechaj Bóg tobie to dobrodziejstwo stokrotnie nagrodzi!

Stanisław byłby na ciemnej źrenicy przyjaciela łzawy migot wdzięczności i tkliwego dojrzał uczucia, lecz Jerzy spuścił oczy ku ziemi, a Rudnickiego chwilowo ból serca odurzył, i patrzył przed siebie.

Może i osobliwość stanowili ci dwaj młodzi ludzie wśród ówczesnej eleganckiej i zdemoralizowanej społeczności Warszawy. Ale wierzajmy raczej, że cyniczna niemoralność tylko część jedną warstw wyższych owładła, poniżyła, zabiła moralnie, lecz widoczną bardzo, bo stojącą na podniesionym szczeblu towarzyskiej drabiny, a głośną. Zresztą, wszakże i złe każde więcej zawsze jest wiadomem, aniżeli cicha cnota i ciche poświęcenie. A czasy, które wydały Rejtana, Stanisława Małachowskiego, Tadeusza Kościuszkę i tylu innych, świadczą o wielkim zasobie najszczytniejszych cnót polskich.

Stanisław i Jerzy mieli jeszcze tkliwości i łzy, lubo z zimną odwagą i gotową ofiarą, z mężstwem nieustraszonem stawiali już piersi nieprzyjacielskim zastępom. Przechowali jeszcze uczucie młode, dziecięce niemal, świeże i gorące; obok najwyższej miłości dla kraju, serca wrzące dla ukochanego dziewczęcia, a ponad wszystko przyjaźń i braterstwo. Obadwaj urodzili się i wzrosli pod cnotliwym dachem dworca wiejskiego, przy surowym ojcu i bogobojnej matce. To też zeń stare wynieśli cnoty, bo gdzie zacnem i pocziwem wychowaniem zdrowe a błogie rzucano ziarno, tam szlachetność, prawosć i honor nazawsze swoje zapuściły korzenie. Pod sztandarem walecznych, wśród grzmotu dział wrażeń, wyższego tylko nabrali hartu, ale hart ten tkliwszych nie wyniszczył uczuć, i życie bojowe nie wyiębiło serc młodych.

Długo przechadzali się jeszcze. Jerzy prawil szczęśliwy, rozgorączkowanym podniecony uczuciem. Stanisław milczał, krwawiło się serce, lecz i na jedną chwilę zazdrość w jego nie powstała duszy.

— Ale cóż tobie? — zawołał naraz jeden Jerzy, i spojrzał mu w lica, na które właśnie jaśniejszy księżycowego światła padł promień. — Milczysz? Jesteś bładny... Co tobie? — powtórzył zapytanie trwożnie.

— Nic mi, kochany — odrzekł kolega — jestem znudzony podróżą; jechałem noc całą.

— Tobie zatem wypoczynek potrzebny, a zatrzymałem ciębie niewzględnie. Chodźmy! Odprowadzę cię do mieszkania.

Wyszli z ogrodu, a przechodzący znowu za nimi spojrzeli.

Nazajutrz tkliwa u pani podkomorzyny odbyła się scena. Rudnicki słowa dotrzymał i w południe zjawił się u niej. Poprosił o widzenie się z nią sam na sam i przyjaciele oświadczył.

Podkomorzyna, matka poczciwa, już wszystko od paru odgadła tygodni, bo Zosia ukochana, nieumiejąca ukrywać, co w jej dzieje się serduszku, zwłaszcza przed matką, jawną była jej wskazówką, zatem i czekała wyjawienia dziejów serca zakłętej sobie pary. Uśmiechnęła się przy pierwszych wyrazach kapitana Rudnickiego, a potem i łzę miała na źrenicy. Ścisnęła mu rękę. Objawiła przychylność swoją dla kapitana Napiórkowskiego, i kazała Zosię przywołać.

Dziewczę nadbiegło. Zobaczywszy Stanisława pobladała nieco, ale powitała go przyjaźnie.

Matka powtórzyła jej wyrazy jego, przemówione za przyjacielem, a panna obiedwie ku niemu wyciągnęła rękę.

— Och, panie Stanisławie! — poszepnęła wzruszona. — Przyjacielu!... mamó! — rzuciła się matce do stóp i do jej przytuliła się kolan.

Kapitan zjecha na balkon wybiegł. Stał poza drzewkiem pomarańczowem, a jasny promień południowego słońca w kosztownej perle oka jego zamigotał.

Pod wieczór udali się obadwaj kapitanowie do pani podkomorzyny. Zastali ją samą tylko w salonie. Jerzy klęcząc przyszej teściowej ucałował ręce. Matka Zosię przyzwała, która nadbiegła bielutka jak lilijka.

Rudnicki w teje samej pożegnał się chwili, bo właśnie na tę godzinę do generała służbowy go powołał interes.

Te ciche zaręczyny młodej pary miały dla wszystkich, aż do przyjazdu matki Jerzego, tajemnicą pozostać. Bo wtedy dopiero, po ceremonialnych oświadczeniach pani podstoliny Napiórkowskiej, zamierzyła matka Zofii okazałe zaręczyny córki obchodzić.

IV.

Drugiego lipca zrana, Zofia w pokoju obok salonu przy krosieńkach usiadła. Haftowała atłaskiem róże i fiołki na białej racymorze, pugilares dla narzeczonego, którego matki spodziewano się za dni parę. Była tęskną trochę; nie widziała lubego wczoraj wieczorem, bo miał wartę przy uwiezionym Ponińskim.

Podkomorzyna odbyła na balkonie troskliwy przegląd roślin egzotycznych, poczem krzątała się po pokoju, wkładając świeże we wazonu bukiety, gdy wbiegł nagle zadyszany szambelanic.

— Excusez, madame! — zawołał. — Ściele się do stópek jejmość pani podkomorzyny i przepraszam a u

suprême, że wpadam jak bomba. Ale bo wielka nowina całe wzburzyła miasto... A — rzucił się na krzesło i wionął przewonionym batystem.

— To i jakaż to nowina? — zapytała pani domu dość obojętnie, odstawiając wazon alabastrowy na połączoną konsolkę.

— Wielka!... Imaginez, madame: Poniński uciekł tej nocy z więzienia!

— Co szambelanic mówisz? — porwała się matka Zofii, przestraszona nagle.

— Parole d'honneur! A ładny kapitan Napiórkowski, który wartę miał przy nim, w łańcuszkach, oddany pod sąd wojenny, a to kulką pachnie.

Podkomorzyna struchlała, głosu wydobyć nie mogła. A biedna Zofia w drugim pokoju pobladała śmiertelnie i nawpół omdlała na krześle obwisła.

— Uciekł, uciekł szczęśliwie — mówił szambelanic dalej, niezważając na nieme osłupienie pani domu — niby go to szukają, ale on już het, het, wie jego święty patron, gdzie się obraca! Hetman wielki litewski, Ogiński, prezes komisji wojskowej, zaalarmowany au suprême, Warszawa cała w poruszeniu. Familia marszałka szczęśliwa!... Szkoda jednakże Napiórkowskiego. Śliczny chłopak! Ozdoba naszych salonów!... I żołnierze w więzieniu, w łańcuszkach. Lecz on, oficer, kapitan! Kula ani chybił! Jestem zdesperowany! Mais que faire?! Sąd wojenny!... Familia Ponińskiego przepłaciła zapewne. Syn poczciwy!... Ale, komu w drogę... — spojrzął na zegarek — biegnę do starościca Jaśka, potem do kasztelanowej. Zapłacze damulka ślicznego oficerka. Ach, ach! i pani Modesta mnie czeka... Pannie Zofii pokłon uniżony, holocauste z ferworem i submisją. Ściele się do stópek! — pocałował w rękę podkomorzynę i wybiegł.

Z drugiego pokoju ukazała się Zofia, blada jak widmo, z załamanymi rękoma.

— Mamo! — jękała i rzuciła się matce na szyję — ach to okropnie! okropnie!

— Uspokój się, dziecko! — przytuliła ją matka w objęciu. Miej ufność w Bogu! W Matce Najświętszej, litościwej!

— W kajdanach! Sąd wojenny!... Skazany na rozstrzelanie! — zadrzała konwulsyjnie.

— Ależ nie! Nie, nie! To tylko ten nieznośny wiercipięta pogadał. Rzecz ma się pewno inaczej.

— Jerzy taki szlachetny, prawy... taki dobry!... O matko moja!... Świat okrutny! Umrzeć, o Boże, umrzeć!

— Zosiu, przez miłość Boga!

— Och ten zdrajca!... Tyle nieszczęść! Ofiary niewinne!.. Mamo, mnie serce pęka! O mój Jerzy! Mój Jerzy szlachetny

— Nie rozpaczaj, dziecko! Może to wszystko plotki są tylko! Uspokój się! Miej wiarę w opatrność! Oddaj się Bogu i Matce Najświętszej!

— Och, ja nie wiem, co dzieje się ze mną!... Odbiega mnie rozum — załamała ręce — odbiega wiara...

— Zosiu! Dziecko! Przez miłość Boga! Pomódl się! Miej wiarę w sprawiedliwość Bożą!... Módl się, dziecko. Ja pójdę do jenerałowej i dowiem się bliżej o wszystkim.

— Idź! matuchno, idź! O mamó jedyna moja!

Zofia upadła na krzesło i załamane dłonie do czoła poniosła.

Podkomorzyna włożyła kapelusz i obrzuciła się szalem.

— Bóg z tobą, moje dziecko! Spieszę, a wrócę co rychlej! — przeżegnała córkę i wyszła.

Po wyjściu matki porwała się Zofia i przyciskając skrzyżowane ręce do piersi, przebiegała pokój w gorączkowym pospiechu. Zmawiała jeden pacierz po drugim, półgłębko, machinalnie, szybko, z myślą rozstrzeloną, bezprzytomną niemal, wydając razporaz jęk bolesny z krwawo zatrwożonego serca.

W tem drzwi nagle otworzono i ukazał się Stanisław, blady, zmieniony, pomieszany.

— Och, panie! — dziewczę ku niemu złożone wyciągnęło dłonie — Jerzy w kajdanach... skazany!... skazany!

— Któż tę nowinę tu przyniósł? — zawołał i ujął jej rączki lodowato zimne.

— Szambelanic... Jerzy w kajdanach... oddany pod sąd wojenny!... Widzę w twarzy, w oczach całą tę prawdę straszliwą!...

— Ależ nie! nie!... Poniński zdrajca uciekł. Jerzy uwięziony, ale...

— O, panie Stanisławie! Przyjacielu!... Bracie mój, ratuj! — głowa jej obwisła na ramieniu jego.

Jemu chwilowo głosu zabrakło. Ból srogi rozsadzał pierś mężką. Zamglonem okiem spojrzął na wdzięczną głowę, na jego wspartą ramieniu, zadrgnęły usta pobladłe i zawołał:

— Niechaj mi Bóg dopomoże! Niechaj mnie Matka

Boska prowadzi! Uratować go muszę... choćbym własne miał położyć życie — doszepnął i nawpół omdlałą na bliskim posadził krzesło.

— Jerzy przecież nie zawinił! — otrząśł się z głębokiego wzruszenia. — Zaczepnij pani siły i odwagi! Bóg jest miłosierny!... Jerzy niewinny, niewinny! wołam wobec Boga i ludzi! Oszukał, otumanił go zdrajca podstępnie! Jerzy Napiórkowski szlachetny, pełen honoru, prawości, wzorem dla drugich być może!... Sąd wojenny, jakkolwiek surowy... ale przecież nie złożony z Kanibalów! Jerzego cenią wszyscy!... Nie znam szczegółów tej ucieczki. Syn oczywiście głównie był czynnym, czemu i nie dziwię się wcale... Ale takiego potworu, Boże odpuść!... to i syn wyrzeby się powinien!... Niechaj Bóg sądzi!.. Uspokój się pani! Nabierz odwagi, nadziei!... Spieszyłem tu, by nowiniarzy uprzedzić, a nie podolałem. Chciałem panią podkomorzynę powiadomić, przed panią tajemnicę zachować...

— Musiałam... przecież musiałam o tem wiedzieć! — jękała biedaczka.

— Zapewne! Ale pierwaj chciałem zbadać wszystko... Biegnę, bo ziemia pod moimi palami się stopami... Gdzież jest pani podkomorzyna?

— Poszła do jenerałowej.

— Iść muszę... Niechaj Bóg dobry i Matka Najświętsza opiekują się panią!

— Ratuj go! Ratuj! Mój bracie! — znowu poszepnęła głucho, jakby bolem wysilona, modlitewnie składając dłonie.

Stanisław przykląkł, ujął je oburącz, zlekka do ust przycisnął i stłumionym wyrzekł głosem:

— Wesprzyj mnie, o Boże, i Ty Matko bolesna!... Bóg z tobą, pani!... Siostró! — płacz zagrał w piersi mężkiej, porwał się i wybiegł.

Na schodach chwilę przystanął. Przetarł oczy, za wąs targnął, a gdy na ulicę wyszedł, nikt nie byłby odgadł, jak bolesną w sercu niósł ranę.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika literacka i artystyczna.

L w ó w, w listopadzie 1872.

(Druga wiosna. — Scena polska i przedstawione na niej nowości. Chroniczna słabość naszych artystów dramatycznych. Wspomnienie o K. Królikowiem. — Koncerty i wieczorki Towarzystwa muzycznego. — Legenda o Ś. Stanisławie, utwór muzyczny L. Marka).

Mamy wiosnę... natura wykoleiła się z swych wieczystych prawideł: w listopadzie obudza do życia błonia i las, podobno bławatki kwitną i drzewa pęczą puszczej, co byłoby bez wątpienia bardzo miłym, gdyby nie obawa, że się to dzieje kosztem

rzeczywistej wiosny przyszłej, że za to w maju będziemy musieli nosić futra i baszliki.

Improwizowana wiosna ta nie przeszkadza nam jednakże dopełniać zimowego programu życia miejskiego, a pełna co wieczór sala teatralna, wymownem tego świadectwem. Teatr w znaczeniu artystycznym, nabiera też coraz silniejszych podstaw, wspierany hojnym udziałem publiczności; stary to pewnik bowiem, że artyści rozwijają bez porównania więcej staranności w grze swojej wobec przepelnionej sali, niż gdy im grać

przyjdzie dla pustych, jak to mówią, ławek. I nie dziw! Każda praca, usiłowanie każde potrzebuje zachęty i współczucia, cóż dopiero praca artysty, praca duszy.

Z przedstawionych ostatnimi czasy nowości, nowości dla sceny naszej nie dla literatury dramatycznej, wymieniamy Szekspirowskiego „Króla Lira“ i „Wesołe Kumaszy z Windsoru“, tudzież Słowackiego „Balladynę“. — „Król Lir“ powiódł się o tyle, że przedstawiający główną rolę p. Ładnowski grał znakomicie, i że beneficjant, p. Konarski, nie miał powodu użalać się na udział publiczności; całość mniej była szczęśliwą, a niektóre role z powodu niedającej się niczem wytłumaczyć opieszalności niektórych aktorów wypadły wręcz fatalnie. Już to nieuczenie się ról stało się widocznie chroniczną słabością tych panów; lecz jeżeli kiedykolwiek uszła im ta wcale nieartystyczna słabość, to w „Królu Lirze“ jak najmniej przytrafić się im była powinna, i jak najgorzej świadczy o ich pojmowaniu sztuki i zamiłowaniu w takowej. Dyrekcja powinna też na seryo wglądać w tę gorszącą słabość, gdyż, jak każdy przyzna, ostatecznością jest ze strony aktora nie-nauczenie się roli w sztuce Szekspirowskiej, jak zresztą i w każdej innej, skoro takowa przedstawiana jest na scenie publicznej, dowodzi bowiem lekceważenia sobie zarówno sztuki jak publiczności.

„Balladyna“ w przeciągu kilku tygodni przedstawiona została cztery czy pięć razy, zawsze wobec zapelnionej w całem tego słowa znaczeniu sali teatralnej, co już mogłoby posłużyć za dowód zamiłowania publiczności naszej w teatrze, gdyby wogóle dowód taki był jeszcze potrzebny. Przedstawienia tego prześlicznego utworu, tak pod względem gry artystów, jak i wystawy i staranności ogólnej do najlepszych zaliczyć można, jakieśmy na scenie lwowskiej widzieli za nowej dyrekcji. Pani Nowakowska zwłaszcza, jako Balladyna, panna Deryng, jako Goplana, jak niemniej p. Ładnowski w roli Kostryna i Woleński (Kirkor) grają bardzo pięknie i rzeczywiście grą swą podtrzymują całość przedstawień. Ilustracja muzyczna, kompozyceji p. Jareckiego, z motywów rodzinnych osnuta, dodaje przedstawieniom „Balladyny“ uroku, a piękne dekoracje p. Fabiańskiego uzupełniają dla zmysłów widza harmonią wrażeń, jakie odnosi z tego utworu. Istotnie, będąc na przedstawieniu „Balladyny“ doznaje się żalu, że nieśmiertelny autor tego dzieła nie znajduje się wśród widzów... On tak gorąco pragnął tego, aby „Balladyna“ stała się własnością ludu!...

I znów nam przychodzi zapisać świeżą stratę, jaka dotknęła świat nasz artystyczny. Po krótkiej słabości zmarł Karol Królikowski, jeden z weteranów sceny polskiej, a brat warszawskiego Jana, obecnie Nestora aktorów polskich. Na kilka dni przed śmiercią widzieliśmy jeszcze nieboszczyka na scenie grającego w „Balladynie“ rolę Popiela, wiadomość więc o nagłej śmierci jego sprawiła tem smutniejsze wrażenie. Tłumy publiczności też oddały nieboszczykowi ostatnią przysługę, a nad grobem przemówił w rzewnych słowach przyjaciel jego p. Karol Groman, podnosząc cnoty zmarłego jako Polaka i człowieka, tudzież wieloletnią, gorliwą pracę w moliżnym zawodzie. Serce i pracę oceniamy wszyscy, więc drogą nam będzie pamięć Karola Królikowskiego.

Towarzystwo muzyczne dało nam dnia 24 bm. koncert, czwarty za rok przeszły, a już dnia 25 bm. rozpoczęło szereg wieczorków muzycznych, które przez cały ciąg zimy odbywać się będą, tak jak roku minionego, w sali Zakładu Ossolińskich co poniedziałku wieczorem. Program i wykonanie tak koncertu jak i wieczorku zadowolniły publiczność zupełnie. Wkrótce odbyć się ma doroczne walne zebranie członków Towarzystwa, stosownie do zastrzeżeń statutu. Spodziewamy się po niem pożytecznych reform w Towarzystwie.

Bardzo miłym obdarzył nas wieczorem p. Ludwik Marek, urządziwszy w teatrze koncert, w którym dał nam poznać większy utwór swej kompozycji, „Legendę o św. Stanisławie.“ O ile sędzić wolno kompozycje muzyczne z wrażenia tylko, jakie na nas wywierają, oddać musimy talentowi p. Marka wszelką słusność: utwór jego właśnie najkorzystniejsze wywarł na nas wrażenie.

B. K.

Drezno, w listopadzie 1872.

(Obraz dziennikarstwa polskiego i prasy peryodycznej. — Wydawnictwa encyklopedyczne. — Marzenia o wielkiej Encyklopedyi polskiej. — Teatr.)

W przededniu nowego roku, za dawnych czasów więcej u nas ruchu było i szumnych zapowiedzi; teraz jakoś skromniej kończymy nieszczęśliwą rocznicę i gotujemy się do rozpoczęcia nowego stulecia pracy. Szczególniej w dziennikarstwie, nauczonem doświadczeniem lat przeszłych, nie ma już tych nierozważnych porywów na efemeryczne publikacje, które się na drugim lub trzecim numerze kończyć były zwykły. Obejrzyź się nieco na tem polu i obliczmy siły nasze. Nie myślimy tu wcale dawać statystyki dziennikarstwa, wspomnim tylko o główniejszych organach i o kilku nowych, które się zjawily lub ukazać obiecują.

Naprzód w Poznańskim p. Krajewicz zapowiada Wiarusa, dziennik dla klas średnich, który wcale zbytecznym nie będzie, i owszem bardzo pożądanym, gdyż Poznańskie stosunkowo do ludności i do wykształcenia, dziennikami przeciężone nie jest. Dziennik Poznański i Kuryer są jedynymi szerszych rozmiarów organami publicystyki, chętnie bym nawet tylko sam dziennik zaliczył a kuryera pominął, gdyż ten ma życie sztuczne i służy garstce ludzi, przez którą jest utrzymywany. O Orędowniku za granicami księstwa nie wiemy nawet, czy żyje. Tygodnik Wielkopolski, jak słyszę, popsuł sobie sprawę umieszczeniem powieści niefortunnie wybranej dla popularnego pisma. Szkodaby go było, chociaż przypomniawszy czasy starego Orędownika i literackich pism poznańskich z owej epoki, porównawszy go z niemi, wiele zostawiał do życzenia. Na Prusy zachodnie jedna Gazeta Toruńska i podobno, Przyjaciel ludu. Terazniejsza Torunianka robi, co może, ażeby żyć, trzeba jej oddać tę sprawiedliwość; ale gdyby człowieka zamknięto w trzylokalnym pokoju i kazano mu tam być bardzo szczęśliwym, nie mogąc łokci rozkurczyć?? Wiarus więc ma przyczynę bytu i powinien sobie koło czytelników wyrobić.

W Warszawie, gdzie dziennikarstwo (wyjąwszy gazety polityczne, choć i te są dobrze redagowane) najświetniej stoi,

same formalności wstępne, wielce utrudnione, nie mówiąc już o warunkach cenzuralnych, nie pozwalają na zbytne mnożenie się pism nowych. Zato wszystko, co jest, żyje, utrzymuje się i rozwija... Od nowego roku kilka nowości przybywa, o ile wiemy, nie upada żadne pismo. Świeżo spleciony *Wieniec* przeszedł już na własność Lewentala, właściciela *Kłosów*, który co z nim uczyni, jemu tylko wiadomo. Może tedy być, że się on zleje z *Kłosami*, może całkiem ustanie wychodzić. Szkoda by go było. *Kronikę* rodzinną p. Borkowskiej nabywa nowa redakcja z zamiarem rozszerzenia jej i powiększenia. Ma to być organ tradycji i postępowego konserwatyzmu, jeżeli te wyrazy ze sobą sprządz można. Powstaje także *Ognisko domowe*, o którego programie nie mamy bliższych wiadomości. Żadne z pism dawnych nie pada, nawet taka brudna lichota, żyjąca skandalem i plagiatem, jak *Kolce Dzikowskiego*, wegetują. Najświetniejsze podobno interesa robią *Kłosy*, których przedsiębiorcy, a dziś właścicielowi *Wienca* i *Tygodnika powieści i romansów*, wybornie się powodzi. Unger ze starszym *Tygodnikiem* ilustrowanym stoi także bardzo dobrze. Oba przedsiębiorstwa ze znacznymi kapitałami, umiejętnie prowadzone, stoją na równi z zagranicznymi i walczą z sobą o lepszą. *Kłosy* dały w tym roku obfitość pięknych drzeworytów z wystawy sztuki paryskiej, którym to tylko zarzucić można, iż nie są nasze, i że eksploatując wystawę, nie wciągnęły w nią tego, co dla nas było na niej najbardziej zajmującym — obrazu *Rodakowskiego*. *Kłosy* swoim abonantom dają po niższej cenie pisma *Korzeniowskiego*, *Tygodnik* ilustrowany dzieła *Wilkońskiego* i *Encyklopedyę*. Współzawodnictwo dwóch tych pism wychodzi im samym na korzyść i krajowi. Stosunkowo do tego, co one dają, są nawet wcale nie drogie. Umożliwia to tylko wielka liczba abonentów; przy najlepszej chęci dla kilkuset tego uczynić nie można, co dla kilku tysięcy da się z łatwością wykonać. Ceniąc ofiary i zapobiegliwość wydawców, śmiało twierdzić się godzi, iż stosunkowo więcej czynią nakładcy *Kłosów*, *Tygodnika* i *Strzechy*, niż właściciel *Gartenlaube*, mający 310,000 czytelników, si fabula vera, i jeśli ta liczba dla dzierzawcy anonosów nie jest powiększoną.

Z boleścią wyznać w końcu przychodzi, iż w Galicyi u was, w ojczyźnie *Strzechy*, *Szczutka*, *Gazety Narodowej* i *Dziennika Polskiego*, dziennikarstwo idzie jak z kamienia.

W ogólności tak się tam dużo mówi, iż czytać nie ma czasu. Ci, którzy czasem potrzebują nad książką się zdrzemnąć, biorą w takich razach coś francuzkiego lub jaką wiedeńską *Pressę*. Począwszy od wielkich mężów stanu, których wykształcenie ogranicza się na kilku frazesach politycznych, aż do szlachty wiejskiej, za całą literaturę mającej *Gazetę Narodową*, nikt tu nie jest usposobiony do żywego zajęcia się rzeczami pisanymi. *Dzienniki*, wyjąwszy *Narodówkę* mającą wyrobione koło czytelników *quand même*, żyją jak ptaszka niebieskie opatrnością *Bożą* z dnia na dzień. O książkach nie ma co mówić.

Nie wiemy, co się stało ze świeżo zapaloną *Pochodnią*, której tylko para numerów się ukazała. Natomiast wyborny *Dziennik* mój zdaje się mieć wszelkie rękojmie trwania i powodzenia, na które zasługuje. Kto wie, czy tą drogą

właśnie nie najłatwiej się do czytania skłoni? Trzeba wszystkich próbować. Panie zechcą się dowiedzieć coś o gałgankach, redakcja *fręzelkę* literacką do nich przyczepi tak, że i ona przejdzie z nimi. Ciekawość potem... nałóg... a gdy panie i panienki zaczną czytać, gotów się namówić i jegomość którego dnia, gdy będzie słota i nudno. Oprócz *Czasu* i *Kraju*, mówią mi o trzecim *dzienniku* politycznym, mającym się zakładać w Krakowie. To już chyba plotka. *Czas*, o ile wiemy, żyje tylko ofiarą tych, których przekonań jest organem; *Kraj* wegetuje zrzęczością i przemysłem własnym... jakżeby się tu trzeci *dziennik* mógł utrzymać? To zagadka... Musiałby chyba zjeść jednego ze swych protoplastów... We *Lwowie* *Dziennik Polski* rozszerza swe ramy, zwiększa siły redakcyjne i staje do walki z *Narodówką* nie na żarty. Przebył on już najgorsze czasy nowicyatu, ma charakter wybitny, wie, czego chce i dokąd idzie, przedstawia żywiół społeczny, który życia się dorabia i wzmaga, jest organem przekonań, którym nigdy się nie sprzeniewierzył: dla czegożby nie miał marzyć o lepszej przyszłości? Lepszy to znak, gdy pismo po latach kilku rośnie, niż gdy zbyt szeroko rozpoczęte, obcinać się musi.

Otóż jest prawie całkowity obraz naszej prasy, do której że nie wliczam *Przeglądu* polskiego, to dla tego tylko, że go nie znam, a *Przeglądu* *Lwowskiego* i *Tygodnika* pseudo-katolickiego dla tego, że je znam nadto. O ostatnich dwóch zamilczę lepiej, gdyż bliższe z nimi zapoznanie rodzi choroby wątrobowe. *Probatum est*. Winienem tylko, żem nie wspomniał o poczciwej *staruszeczce*, *Bibliotece* *Warszawskiej*, która jest pismem poważnym i zajmującym, a co największa zasługa, upartego życia. Jeśli się nie mylę, powstała ona współcześnie z naszym *Athenaeum*, które dawno pogrzebione zostało, a potrafiła przeżyć i przetrwać tyle burz, posuch i powodzi!!! Cześć tej wytrwałości poczciwej. *Biblioteka* drukuje często rzeczy, które godneby były daleko większego rozpowszechnienia. Ileż to tam utopionych rozpraw historycznych, krytyk, bibliograficznych notat najcenniejszych!

Obok peryodycznych pism wspomnieć należy *Encyklopedyę* *Warszawską*. W tej chwili wychodzi ich cztery, *Ungra*, *Orgelbrandów*, *Lubomirskiego* rolnicza i teologiczna. W *Kłosach* stary prof. *Dziekoński* już rozpoczął wojnę z pierwszą z nich. W Galicyi powolnie, na długie lata rozłożona drukuje się *galiczyjska*, *wyborna* *Encyklopedya*, dzieło niezmiernie pracy; ale któż o niem wie i kto je zna?

Mnie się marzy, że w *Poznańskim* i Galicyi moglibyśmy się przecie zebrać na *encyklopedyę* polską, *historyi*, *starożytności*, *obyczajów*, *zwyczajów*, *archeologiczną*, *jeograficzną*, *literacką*, na *encyklopedyę* o *Polsce*, któraby zawarła całą przeszłość naszą, któraby mogła w każdym polskim domu zastąpić mnóstwo ksiąg i wnieść światło a tradycyę przeszłości; mnie się marzy, że taka *encyklopedya* *ilustrowana*, na którą złożyłyby się siły całego kraju, byłaby najpiękniejszym pomnikiem dla naszej drogiej matczynej... A! przed laty dwudziestu uwierzyłbym w możliwość tego dzieła, w chętną pomoc do niego, w *mecenasów*, w *nakładców*, w *współpracowników*; dziś, dziś to *pium desiderium*, jest tylko marzeniem, dziś... zapóźno! *Zimno*, *zimno* dokoła... Nie ma ludzi, nie ma czło-

wieka, nie ma nawet śmiałego spekulanta, coby się ważył na coś podobnego... Przecież od wielu przedsięwzięć byłoby to lepsze, a razem podniosłoby wysoko człowieka, coby miał ku niemu odwagę. Taką encyklopedyą polską zechce może ktoś stworzyć, gdy do niej materiału zabraknie, gdy się ostatki żywych podań rozprószą, gdy co było dla nas zrozumiałem, stanie się hieroglyfem...

ZE ŚWIATA.

(Osobliwsza cena kupna). Marszałek Soult przywiózł sobie z kampanii hiszpańskiej znakomity zbiór obrazów, a złośliwe języki utrzymywały, że nie bardzo godziwym sposobem ponabycował te mistrzowskie dzieła.

Pewnego dnia oprowadzał marszałek sam kilku przyjaciół po swojej galerii, i korzystając z tej sposobności, zbijał stanowczo znane sobie złośliwe pogłoski, jakie obiegały o nabyciu tych obrazów.

— Świat utrzymuje, że łupiłem kościoły i klasztory, słowem, że pokradłem te nieśmiertelne dzieła mistrzowskie, które tu widzicie — opowiadał marszałek swoim gościom. — Jestto najniegodziwsze oszczerstwo; każdy obraz, znajdujący się w moim zbiorze, kupiłem; nie ma pomiędzy nimi ani jednego, któryby nie był zapłacony.

— „Jakże pan przyszedłeś do tego tu? — spytał pewien jegomość z towarzystwa; wskazując obraz, o którym nasłuchał się już dziwnych rzeczy.

— Ten obraz? Nie prawdaż, że to prawdziwa perła, „paralityk“ Murilla — rzekł marszałek, przypatrując się temu skarbowi z błyszczącymi oczyma. — Ha, kupiłem go.

— I ten obraz kupiłeś pan? Był więc do sprzedania?

— Rozumie się, i zapłaciłem za niego nawet bardzo drogo: kosztuje on mnie dwóch tłustych mnichów, opata i przeora.

Słuchacze nie dowierzali własnym uszom i spoglądali na siebie zdziwieni.

— Nie wierzycie panowie? — mówił marszałek dalej — zaraz Wam tę zagadkę rozwiążę. W owym czasie, gdy Wellington najmocniej mi dopiekał, przybyłem pewnego wieczora na czele mojej kolumny do jakiegoś starego klasztoru, zapukałem do furty jego i zażądałem kwatery dla siebie i moich oficerów, a żywności dla wojska. Uczyniono zadość memu żądaniu, ale na drugi dzień dowiedziałem się, że mnisi zamordowali zatrutem winem dwudziestu dwóch grenadynów moich, którzy nocowali w ich kaplicy.

Morderstwo to było najzupełniej udowodnione, i możecie sobie wyobrazić mój gniew i oburzenie moich ludzi; potrzeba tu było odstraszącego przykładu. Kazalem wszystkim mnichów schwytać i stawić przedemną; było ich stu. Oświadczyłem, im, że właściwie wszyscy zasłużyli na śmierć, ale że poprzestane na tem, by za każdego grenadyera obwieszony został jeden mnich, więc razem dwudziestu dwóch; niechaj tedy natychmiast ciągną losy, bo egzekucja niezwłocznie nastąpi. Wiedząc dobrze, że wszelki opór i wszelkie usiłowanie, aby mię zmiększyć, byłyby bezskuteczne, poddali się strasznej konieczności, ciągnęli losy i oddali przeznaczone na śmierć ofiary. Egzekucja odbywała się

Chciałbym skończyć czemś weselszem? — Pocieszmy się tem, że teatry żyją — W Warszawie, Lwowie, Poznaniu, Krakowie usiłowania wielkie, zajęcie żywe, dramata się rodzą. tłumaczenia rosną jak grzyby, Szekspir i Słowacki ściągają tłumy... Spodziewamy się, że i przyszły konkurs krakowski bezowocnym nie będzie, choć zabraknie mu tego, który w dwu ostatnich zasłużony wieniec otrzymał...

J. I. KRASZEWSKI.

już na dobre, gdy naraz jeden z najbardziej otyłych mnichów, który należał do przeznaczonych na stracenie, pociągnął mnie za rękaw, i przedstawivszy mi siebie jako opata, a stojącego obok kolegę jako przeora tego klasztoru, zapytał mnie oraz, czy istotnie chciałbym się dopuścić tak ciężkiego grzechu, wydając na haniebną śmierć tak wysokich dygnitarzy kościoła. Odpowiedziałem mu, że właśnie sprawiłoby mi szczególną przyjemność, widzieć wiszącego opata i jego przeora.

Przekonawszy się, że szkrupuły religijne skruszyć mnie nie zdołają, zaszedł mnie z innej strony: szepnął mi do ucha, że w klasztorze znajduje się „paralityk“ Murilla, starannie ukryty dla ciekawych oczu; ale jeżeli ocalę jego i przeora, to zaprowadzi mnie do kryjówki, w której obraz ten się znajduje.

Obietnica ta była zanadto ponętną, moi panowie. Wprawdzie była cena bardzo wysoka — opat i jego przeor — ale słyszałem już bardzo wiele o tym obrazie, chciałem go mieć, i zgodziłem się na ten wniosek. Kazalem powiesić tylko dwudziestu, opata zaś i przeora uwolniłem; a gdy egzekucja się skończyła, wydali mi oni rzeczony obraz.

Widzicie tedy, moi panowie, że to haniebne oszczerstwo, utrzymywać, jakobym pokradł obrazy w Hiszpanii, przeciwnie, płaciłem za nie bardzo wysokie ceny — rzekł marszałek kończąc opowiadanie, którem właśnie udowodnił to, co zaprzeczyć pragnął. Ale Napoleon I. i jego generałowie mieli szczególniejsze pojęcie o tem, co „moje a twoje“, i niejedno dzieło sztuki, które w ciągu ich panowania zmieniło właściciela, mogłoby o tem ciekawie opowiadać rzeczy.

(Handel niewolnikami), to najokropniejsze pogwałcenie praw boskich i ludzkich, kwitnie ciągle jeszcze na wschodnich wybrzeżach Afryki; a w jak okrutny i nieludzki sposób bywa prowadzony, pokazuje się najlepiej z następującego raportu, nadesłanego do Londynu: Niedawnemi czasy powiodło się łodziom angielskiego okrętu wojennego „Vulture“ pojmać okręt niewolniczy w pobliżu Ras-el-badu w odnodze perskiej. Znajdowało się na nim, handlarzy i załogi razem, 36 ludzi uzbrojonych. Ilu niewolników było na okręcie, nie można było w pierwszej chwili rozpoznać. Gdyby nie okropny widok, jaki się przedstawiał na dnie okrętu, i wydobywające się ztamtąd niezdolne wyziewy, można było mniemać, że się ma przed sobą mrowisko. Mnóstwo dzieci, których twarze owrzodzone szkrofulami i ospą mimowolnie obudzały największe obrzydzenie, a obok nich wynędzniałe i połamane postacie męskie i niewieście, okazały się oczom majtków angielskich, nie mogących znieść ani widoku tego, ani odoru, jaki ich zalatywał. Czegoś niekzemniejszego i niegodziwszego nie widział pewno nigdy świat cywilizowany. Nieszczęśliwe te istoty były po największej

części tak osłabione, że nie mogły kroku postąpić, i musiano nieść je na rękach. Lekarz okrętowy opatrywał wszystkich, i pokazało się, że 35 było mniej więcej chorych na ospę; a tak byli schorzali i osłabieni, że pomimo troskliwego pielęgnowania umarło jeszcze w drodze do Bombaju 15stu, a potem znowu kilku. Ale nie tu jeszcze koniec okropnościom. Jak tylko pokazała się ospa na okręcie niewolniczym, wyrzucano wszystkich zarażonych z okrętu, co powtarzało się codzień, i tym sposobem wygubiono czterdziestu ludzi. Przekonawszy się w końcu, że to barbarzyństwo nie mogło powstrzymać zarazy, pozostawili ci zbrodniarzy chorych ich losowi. Pomiedzy uwolnionymi znajdują się dzieci, liczące zaledwie trzy lata, a przecież są plecy ich dosłownie posiekane razami batogów.“ — Kiedyż przestanie raz człowiek zawstydzac swem bestyalstwem dzikie zwierzęta!

(Wpływ małżeństwa na długość życia) stwierdzają następujące daty, zaczerpnięte ze statystyki Francyi, Holandyi i Belgii w dziesięcioletnim okresie 1855—1865 r. Na 1000 mężczyzn żonaty, liczących od 25—30 lat, umiera rocznie w przecięciu 6, na 1000 nieżonaty w tym samym wieku 10, a na 1000 wdowców tego samego wieku 22. Na 1000 mężczyzn żonaty w wieku od 30—35 lat umiera 7, na 1000 nieżonaty w tymże wieku 19. Taki sam stosunek okazuje się i w dalszych okresach życia, z czego wynika, że śmiertelność pomiędzy żonatymi jest mniejsza, niż pomiędzy nieżonatymi, że zatem pierwsi mniej są narażeni na rozmaite choroby. Zbyt wczesne żenienie się szkodzi bardzo mężczyznom, jak to stwierdzają wykazy statystyczne, śmiertelność bowiem mężczyzn żonaty przed skończonym 20 rokiem dochodzi do 50 na tysiąc, i równa się śmiertelności mężczyzn w wieku od 65—70 lat. Hufeland miał przeto słusność, gdy odradzał mężczyznom bardzo wczesne żenienie się, przepowiadając im w takim razie przedwczesną starość. Gdzie zatem nie ma jeszcze prawa, któreby wzbraniało zawierać związek małżeński przed ukończeniem 20 lat wieku, tam należałoby je koniecznie zaprowadzić. Co się tyczy pięknej połowy rodzaju ludzkiego, wczesne zamężcie nie oddziaływa na nią tak szkodliwie, jak na mężczyzn, małżeństwo zaś w ogólności nie wywiera na stosunek śmiertelności tej płci takiego wpływu, jak u mężczyzn. Na 1000 kobiet zamężnych w wieku od 30—35 lat umiera rocznie w przecięciu 9, na 1000 niezamężnych 11, a na 1000 zamężnych przed 20 rokiem życia 7. Z tego wszystkiego pokazuje się, że najlepiej iść wczesnie za mąż; a więc trzeba korzystać z tak miłego doświadczenia.

(Okrzyki polityczne), które odzywały się najgłośniej w Paryżu od r. 1788 aż do dni dzisiejszych, stanowią bardzo ciekawą ilustracją najnowszej historii Francyi. Oto chronologiczne ich zestawienie: W r. 1788 wołał lud: „Niech żyje król! Niech żyje szlachta i duchowieństwo!“ — W roku 1789: „Precz ze szlachtą! Precz z bastylą! Niech żyją jeneralne stany! Niech żyją Necker i Mirabeau! Niech żyją Or-

leans i duchowieństwo!“ — W r. 1791: „Precz ze szlachtą! Precz z księżami! Nie ma żadnego Boga! Precz z Neckerem! Niech żyją Bailly i Lafayette! Precz z Baillym i konstytucją z r. 1791.“ — W r. 1793 w pierwszej połowie: „Precz z monarchią i konstytucją z r. 1792! Precz z Brissatem i Dumouriez! Niech żyją Żyromdziści!“ — W drugiej połowie r. 1793: „Precz ze szlachtą, bogaczami i księżami! Niech żyją Jakubini! Niech żyje Robespierre! Niech żyje Marat, przyjaciel ludu! Niech żyje teroryzm!“ W r. 1794: „Precz z Żyromdistami! Niech żyją Barrére i Couthon! Niech żyje gilotyna!“ — Od r. 1794—1795: „Precz z teroryzmem i katami! Precz z Robespierem!“ — Od r. 1795—1799: „Niech żyje dyrektoryat! Niech żyją Barras i Bonaparte! Niech żyje 500! Precz z dyrektoryatem! Niech żyją konsulowie! Precz z republiką! Niech żyje cesarz Napoleon! Niech żyje wojna i legia honorowa! Niech żyje dwór! Niech żyje cesarzowa Józefina!“ — Od r. 1809—1813: Precz z Papieżem! Precz z Józefiną! Niech żyje Marya Luiza! Niech żyje król rzymski! Precz z Napoleonem, ciemieżcą i tyranem! Precz z senatem i z orłami! Niech żyje prawy król! Niech żyją sprzymierzeni!“ — W r. 1815 (1. marca): „Precz ze sprzymierzonymi! Precz z Bourbonami i legitymistami! Niech żyje Napoleon!“ (1. czer.): „Precz z korsykańskim uzurpatorem! Precz z armią! Precz ze zdrajcami Neyem i Lavalettem! Niech żyje król Ludwik upragniony!“ — Od r. 1815—1830: „Precz z ultramontanami! Niech żyje Decazes! Precz z Decazem! Niech żyje Villette! Niech żyje Angoulême i Karol X. ukochany! Precz z Polignacem i ordononsami! Precz z Karolem X. i Burbonami! Niech żyje Ludwik Filip, król obywatelski!“ — W r. 1848: „Precz z Ludwikiem Filipem! Precz z hrabią Paryża! Niech żyje Lamartine! Niech żyje reforma!“ — W r. 1849: „Precz z Lamartinem! Niech żyje prezydent! Precz z wolnością druku i z klubami! Porządek za jaką bądź cenę!“ — W r. 1850: „Niech żyje Napoleon! Precz z Cavaignacem!“ — W r. 1851: „Precz ze zgromadzeniem! Niech żyje cesarz! Niech żyje rewizya!“ — W r. 1852: Precz z republiką! Niech żyje cesarstwo!“ — W r. 1855: „Precz z Moskwą!“ — W r. 1859: „Precz z Austryą! Niech żyją Włochy! Niech żyje Garibaldi!“ — W r. 1869: „Precz z samowładnem cesarstwem! Niech żyje cesarstwo parlamentarne! Niech żyje Olivier!“ — W r. 1870 (w maju): „Niech żyje konstytucya! Niech żyje dynastya cesarska!“ — (w lipcu): „Do Berlina! Do Berlina!“ (4. wrześ.) Precz z cesarstwem! Niech żyje republika! Niech żyje Trochu!“ (w paźdz.): „Niech żyje komuna! Precz z Trochu'm! Niech żyje Gambetta!“ — W r. 1871: „Niech żyje Thiers! Precz z Trochu'm! Precz z Gambettą! Niech żyje pokój!“ (w mar.) „Niech żyje komuna! Precz z Thiersem! Niech żyje Delescluze!“ (w maju): „Niech żyje Thiers! Niech żyje Mac Mahon! Precz z komuną!“ — W r. 1872: „Niech żyje Thiers! Niech żyje republika!“ Jaki też okrzyk przyniesie najbliższa przyszłość?

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

W salonie.

— To istny anioł z nieba — rzekła stara pani,
Wskazując na panienkę, około zwierciadła,
Ze splaszczonym trochę noskiem.

— Prawda — odrzekł młodzieniec — to mnie tylko rani,
Że gdy z niebios leciała, za zrządzeniem boskiem
Widocznie na nos upadła.

Pokorna odpowiedź.

Żartowali Piotr z Janem z Jakóba,
Co stał pomiędzy nimi,
Forma żartu stawała się wciąż bardzo gruba;
Jakób nie odmruknął słowem,
Czekał, aż się grad ten skrupi...
Wreszcie odrzekł podnosząc cicho wzrok od ziemi:
Panowie! jam nie całkiem śmieszny, ani całkiem głupi,
Lecz stoję w środku... między tym — a owym.

Z podsłuchanych dyalogów.

— Panie kochany, uczyni pan to dla mnie — ot, w swobodnej chwili kiedy, przy kawie poobiednej...

— Służyłbym z największą przyjemnością, ale nie pijam kawy po obiedzie. Widzisz pan więc, że jest to niepodobieństwem dla mnie!

— Duniu! co to się kłóćą dzienniki z jakimiś „pozytywistami“? Nie wiesz ty, kto są ci pozytywiści?

— Kto? No jużci nikt inny, jak fabrykanci pozytywek.

— Dramat pański widziałem, widziałem; jako finansista nie znam się na tem, ale uważasz pan dobrodziej, zdaje mi się, że brak mu akcyi...



— Przepraszam, że zapytam: jakie mianowicie chciałeś pan mieć akcyje? Hypoteczne? rustykalne? Ludwiki?

ZŁODZIEJ.

Znam ja jedno serduszko;
Żyje z matką staruszką;
Jak kaplica — tak święte,
Jak król — w skarby bogate,
Lecz, niestety, zamknięte
Na klódeczkę i kratę!...
Jak tu biedzie tej sprostać?!
Chciałem uszkkiem się dostać,
Przez oczęta się wdrapać;
Lecz ważyłem nad miarę
I odniosłem wnet karę:
Za wysoko tam i tu,
A przeszkody wciąż nowe;
Uszko było różowe,
Oczko było z błękitu,
Z boku krzyknął ktoś: łapać!
I odszedłem we wstydzie...
Nie tak łatwo to idzie!...

W zwierzyńcu.

— Tak więc wyglądał nasz praszczur, mój panie mężu? A! wiesz co, gratuluję tobie i twemu Darwinowi tego milego pokrewieństwa! Ja się przyznaję do tego przodka o tyle chyba, o ile spokrewnioną z nim być muszę przez ciebie!